

D U K A J

CRUX



JACEK
DUKAJ

CRUX

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

CRUX

Minibooki Jacka Dukaja w Wydawnictwie Literackim

© Copyright by Jacek Dukaj
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015
© Copyright for the illustrations by Wydawnictwo Literackie, 2015

Opowiadanie z tomu „Król Bólu” oparte na wydaniu
Jacek Dukaj, „Król Bólu”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010

Redaktor serii: ANITA KASPEREK
Projekt okładki: MACIEJ HARAF / Juice

Wydanie I, elektroniczne

ISBN 978-83-08-05604-2

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
Bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

CRUX

Parodos

Teraz się wydarzy to, a następnie tamto,
później zaś, za rok albo za dwa lata (jak obliczam),
takie a takie rozegrają się działania, takie a takie zapanują obyczaje.

Nie będziemy się troszczyć o daleką przyszłość.
Postaramy się o to, żeby się działo jak najlepiej.
Im zaś gorliwiej się postaramy, tym więcej zepsujemy
i tym gorzej wszystko powikłamy, aż wreszcie się pograżymy
na samo dno zamętu. Wtedy się zatrzymamy.

Graffiti

CRUX CRUX CRUX CRUX

– Co, znowu?

– W nocy.

– Gdzie jest ochrona?

– Werki spadają z deszczem. Wieczorem lało, dzisiaj całe śródmieście tak wygląda.

CRUX CRUX CRUX CRUX

– Ale co to w ogóle jest?

– Mhm? – Lipski już kryje się za rozpostartą gazetą.

– Ten crux.

– A bo ja wiem. Pewnie po prostu litery ładnie im wyglądają. No wiesz, graffiti.

– Taa.

Piątek, siódma dziesięć rano. Do służby biurowca Czermu wchodzimy razem z tą nową od Leśmiana. Lipski zaszywa się w kącie z „Wyborczą”. Odruchowo wyciągam na kontakt ID panny: Anna Zoja Stefańska, nieherbowa, 25, SGH i rok w londyńskim C&C – ale pełne CV pod gryfem Buzdygana.

Błysk virścionków zwrócił jej uwagę, musiała rozpoznać młodą albo po prostu domyśliła się odruchu, spogląda mi prosto w oczy.

Uśmiecham się uprzejmie.

– Pierwszy dzień w pracy?

– Pierwszy tydzień... – tu następuje krótka młoda z jej strony, której nie kryje wcale – ...panie Ćwiecz.

Wstaje i dyga, gdy ujmuję jej uwińcinioną dłoń i składam w ukłonie pocałunek.

– Bardzo mi przyjemnie.

– Wasza miłość.

Ma ciemne oczy, ciemne włosy we włoskim splocie, ciemno opaloną skórę. Także ciemny żakiet i spódniczkę oraz białą bluzkę z mazowieckim haftem, a wszystko to, nie wątpię, manufakturowe.

– Pracuje panna u Staszka Leśmiana?

– Tak, tam tymczasowo... I właśnie powinnam zajrzeć do pana lub pana Żeguty, pan Stanisław chciałby włączyć wasze plany kryzysów wschodnich...

– Ależ oczywiście, proszę, jeśli nie ma dziś panna nic pilniejszego, możemy od razu –

– *Dziękuję państwu* – mówi służa i wchodzimy do holu Czermu. Niewiasta oczywiście przodem i Lipski, przesunąwszy wzrokiem po jej nogach w ciemnych pończochach, mruga do mnie porozumiewawczo. Mudruję mu na priva głośny fakof. Śmieje się, składając gazetę.

W windzie krótka pogaduszka o nowej modzie wśród magnatów Unii Południowej: polują w Kampinosie na tury za pomocą średniowiecznych broni. Tylko Chińczycy psują obraz: nasi socjerzy nie kwapią się do tak ryzykownej pracy, choć wysoko płatnej (zresztą, do jakiej się kwapią?), i najmować do nagonki trzeba Azjatów.

Lipski wysiada wcześniej, my dopiero na siedemnastym. Mijając dygające sekretarki, mudruję im z podvorędzia plik harmonogramu dnia.

Pokój Jakuba jest zamknięty. Mój osobisty sekretarz wciąż na zwolnieniu, muszę się obywać bez sekretarza.

– Pani Madziu, sejf rękopisów.

Pani Madzia nosi pęk ręcznie szlifowanych kluczy na srebrnym łańcuchu zawieszonym na szyi. Gdy ona otwiera toporną kasę pancerną i kolejne w niej metalowe szkatułki, pełne grubych manuskryptów, zdejmuję marynarkę, siadam za biurkiem i sygnuję poranne pisma – zabytkowy waterman między palcami w herbowych virścionkach. Panna Stefańska przycupnęła na fotelu pod zimowym Malczewskim, ze zmarszczonymi brwiami czyta coś na kontakcie.

Ściany biurowca Czermu wykonano z werkfakturowego plastu. Jego właściwości regulowane są natężeniem pola magnetycznego oraz temperaturą. W godzinach pracy wszystkie pomieszczenia poza łazienkami i gabinetami magnatów pozostają całkowicie przezroczyste, ich ściany, podłogi i sufity – prawie niewidoczne. Dywany, chodniki, biurka, krzesła, regały, obrazy, rośliny – wszystko wisi w powietrzu, kondygnacja nad kondygnacją nad kondygnacją. Przesunąwszy wzrok poza krawędź dywanu, widzę – skroś szesnastu poziomów biurowca, aż do parteru z jego jajowatymi bryłami śluz – przybywających kolejnych pracowników niższych departamentów Czermu, witających się, kłaniających, całujących dłonie niewiast, siadających przy swoich biurkach... Tylko dźwięki się nie przenoszą, to teatr niemy.

Natomiast uniósłszy wzrok, natrafię na nieprzeniknione kobierce apartamentów najwyższego piętra: nad nami już tylko pokoje właścicieli Czermu.

Skreśliwszy powoli podpis na ostatnim z pergaminów, odkładam pióro i odchylam się na fotelu, obracając się w prawo, ku pannie Annie. Spojrzenie jednak mimowolnie wędruje poza plast, na drugą stronę alei Putina.

Ściana sąsiedniego budynku prawie na całej wysokości pokryta jest fraktalowo zorganizowanym graffiti. Poranne słońce odbija się od lśniących płaszczyzn, mrużę oczy. Z blasku wyłania się mechaniczny wzór czarnych liter. CRUX CRUX CRUX.

– Wandale meteorologiczni – mrużę, szukając papierośnicy w kieszeni marynarki zawieszanej na oparciu fotela.

– Przeświadcąją w jego imię gowerki w Bałtyku.

– Słucham?

Panna Anna wykonuje mudrą zamknięcia, zakłada nogę na nogę i skupia wzrok na mnie.

– To jest taka gra, panie Ćwiecz. Werki rządowe, zwłaszcza ekologiczne i pogodowe, dawno już zhackowano. Kilkanaście lat temu.

– Brukselscy werkmanci wypuszczają coraz nowsze wersje. Kiedy ostatnio pomyłono się w prognozie pogody? Panna wierzy w te wszystkie teorie spiskowe?

– Ja po prostu wiem, jak się dzisiaj bawi młodzież, panie Ćwiecz. Kiedyś włamywali się na strony Pentagonu czy Hagi, teraz łamią gowerki. Kiedyś wywieszali na zhackowanych stronach w sieci dowcipy i przechwałki, teraz – wskazuje sąsiedni budynek – sam pan widzi. Złamią jednego goworka w Bałtyku, on przerobi kolejne, te następne, werklawina; potem spada to z deszczem. Co prawda zazwyczaj kodują ograniczenia geograficzne, nie wiem, czemu teraz od paru dni sięją tak na ślepo, może jakiś ambicjonalny wyścig sztam... Mój kuzyn należał do sztam, która prowadziła z innymi gry na barwy chmur i kształty błyskawic.

– To przecież niebezpieczne. Równie dobrze można złamać werki, żeby, o, dziękuję, pani Madziu, żeby wytrącały kwas siarkowy albo, bo ja wiem, rozkładały białko.

– Można. A hackerzy komputerowi mogą zablokować sieci komunalne, też zabijając tysiące ludzi. Przecież nie jest to legalne, oczywiście, że nie. Ale też jest niemożliwe do kontrolowania.

Uśmiecham się krzywo.

– Ma panna kuzyna przestępcę.

Opuszcza wzrok, wygładza spódniczkę.

– No tak.

Otwieram skórzaną teczkę przyniesioną przez panią Magdę.

– Panna pochodzi z socjalisk – mruczę pod nosem, kartkując rękopis.

Kątem oka widzę, jak wzrusza ramionami; zacisnęła wargi.

– Mam to w CV.

– Nie czytałem.

– Więc skąd...?

– Jak tylko pannę zobaczyłem: młoda profesjonalistka, jak z reklamy, pełne porno. Ubranie, słowa, uśmiech, jak panna tu usiadła, wszystko ideal. Więc się zastanawiam. Że nieherbowa? Nie, to za mało. A teraz mówi mi panna, że jej krewni bawią się hackowaniem werków. Ukraina?

– Słucham?

– Ta inżynieria kryzysów wschodnich. Ukraina, Odessa, Zakaukazie? Plany moskiewskiej bessy na przyszły rok wywieszono już w sieci.

– Mogę zerknąć?

– Proszę.

Przesuwam ku niej papiery. Pochyla się nad nimi. Kosmyk czarnych włosów układa się ponad kołnierzykiem białej bluzki wzdłuż linii szyi i zagłębienia nad obojczykiem. Z premedytacją odwracam wzrok, mudruję priva ojca. Mgła snuje się nad parkiem konnym Piłsudskiego, sekundanci wbijają w błoto szpile dymiących werkalergów, z wypalanej mgły sypie się szary śnieg. Ojciec wskazuje coś na niebie.

– A to?

Skupiam wzrok na pannie Stefańskiej. Przesuwa karminowym paznokciem pod tabelą planowanych bankructw i upadłości, w sumie ponad czterdzieści miliardów euro strat.

Czerm jest firmą brokerską, specjalizujemy się w inżynierii kryzysów. CM, *crisis management*, dzięki werkom logicznym stał się zupełnie nową dziedziną ekonomii. Od dawna wiadomo, że gospodarka rozwija się w cyklach i że żadna hossa i wzrost nie mogą trwać wiecznie; sztuka polega więc nie na sztucznym ich podtrzymywaniu, lecz takim wywoływaniu i zarządzaniu kryzysami, recesjami, dewaluacjami, by posłużyły one tylko jako katalizator jeszcze większego wzrostu, możliwie bezbolesny. Dzięki werkom logicznym można obliczać, co przedtem było nieobliczalne, i próbować zapanować nad nieopanowywalnymi dotąd procesami.

Ponieważ gospodarka drexlerowska jest grą o sumie dodatniej, bardziej opłaca się współpracować, planując zgodnie kryzysy w skali lokalnej i globalnej; a przecież tak naprawdę każdy kryzys wpływa na resztę świata. Gdy podpisujemy kontrakt na wywołanie i zarządzanie kryzysem jakiejś branży, rynku, państwa, unii – musimy znaleźć sposób na bezkonfliktowe wpisanie go w większy, największy obraz. Przypomina to sztukę wyczuwania przez surfera rodzącej się mu pod deską fali.

Gospodarka drexlerowska wymusza więc jawność i kooperację; uzgadniać trzeba nie tylko działania z działaniami, lecz także działania z planami, a nawet plany z planami i planami planów. Panna Stefańska porównuje zamierzenia departamentu Leśmiana z otrzymanymi przeze mnie w zaufaniu harmonogramami kryzysów firm CM z Protektoratu Rosyjskiego. Kaligrafuję je zawsze zabytkowym piórem na grubym, czerpanym papierze i chowam jedyne egzemplarze w werkalergowej kasie pancерnej.

– To? Kryzys spowoduje wzrost cen energii, będą sadzić drzewa słoneczne. Wobec czego... Przepraszam.

Cofam dłoń, która spoczęła tymczasem na jej ramieniu, zsunęła się po szorstkim żakiecie ku miękkiemu mankietowi, gdy śledziłem ruch czerwonego paznokcia.

Panna Stefańska podnosi wzrok znad papierów.

– W tym budynku, jak dam po mordzie, zobaczy to woźny w piwnicy. Pamięta pan, co radzi Boziewicz?

– Staszek musi mieć z panną ciężkie życie – uśmiecham się, wyjmując z papierośnicy ręcznie zwijanego krusta. Czuję zagniewane dziewczę. Przyjmie, nie przyjmie? Przyjmuje. Siada, wkłada krusta do cygarniczki, podaję jej ogień. Zaciągnąwszy się, wydmuchuje powoli dym. Też już nie potrafi powstrzymać uśmiechu. Huśta lewą nogą, postukując obcasem pantofla o plast.

– Proszę, dla znajomych i przyjaciół: Aza.

– Aza.

– Tak.

– Zygmunt.

– Mhmm – spogląda przez obłok dymu – to jednak nie wypada, ja mimo wszystko –

– Mój sekretarz jeszcze się kuruje, siekł się o jakąś głupotę, możesz go przecież zastąpić przez ten czas. Staszek winien jest mi przysługę, zaraz to – chyba że nie chcesz?

– Skoro tak, Zygmuncie... Co się stało?

Podrywam się z fotela i wychodzę zza biurka, po drodze gasząc dzwony, których nagły łoskot niemal rozsadził mi czaszkę. Mudruję po windę.

– Szef wzywa.

Wszyscy ludzie honorowi są sobie bezwzględnie równi

Pan Jan Andrzej Buzdygan herbu Pobóg wybierał się właśnie na śniadanie do ambasady Brazylii; musiał zawrócić, nie zdążył się przebrać, stoi teraz za biurkiem w przeszywanym złotem, czerwono-żółtym żupanie, z paradną karabelą u boku, z zatkniętym za pas słucki czarnym werkalergiem – buławą ebonitową. Virścionki w kształcie rodowych pierścieni błyskają, gdy prawą ręką wyłapuje z sieci kolejne pliki. Lewą natomiast szarpie sumiastego węża.

Mruga w charakterystyczny sposób, spoglądając na mnie przez kontaktówki: astygmatyczny buldog.

– Pan doły pode mną kopiesz, panie Ćwiecz! – huczy, a rude kłaki na podgalanym łbie stroszą się w bojowy kopeć. – Pan mnie skompromitować usiłujesz, panie Ćwiecz wielmożny!

– Ależ skąd, co też –

– Wasza familia, panie Ćwiecz! Ba! – ojciec wasz rodzony! Ja was pytam: skąd niewdzięczność taka? K'czemu zdrada?

– Zdrada? Zdrada? – Łapię się teatralnie za serce. – Co ja słyszę? Co wasza miłość rzeczesz!

– Nu, nu, nu, waspan się nie wyłgasz, minęła już ósma, a oni na dziewiątą umówieni, ja nie mam czasu. Vater Ćwiecz nie może go drasnąć! Słyszysz? Ani drasnąć!

Dopiero pojmuje, w czym rzecz.

– Kim on jest? – pytam zmieniwszy ton, podchodząc do biurka karmazyna. – Ten Wichwitz.

Nad parkiem Piłsudskiego przeredzają się mgły, wrony przysiadłe na topolach i wierzbach rozpościerają żalobnie skrzydła i rozdziwiają dzioby, zimne krakanie płoszy konia na pobliskiej ścieżce. Joachim Wichwitz, oparty biodrem o maskę swego rolls-royce'a, spoglądając mi prosto w oczy, ściąga powoli zamszowe rękawiczki.

– A kto Burre, wiesz? – warczy Buzdygan.

– Mały Burre? Co on ma do tego?

Frederico Burre, zwany Małym z uwagi na ponad dwa metry wzrostu, pełni funkcję nieoficjalnego ambasadora Unii Alpejskiej w Polsce. Stara Unia Europejska prawnie i obyczajowo nadal istnieje, jak istniała przez

dziesięciolecia po minięciu daty jej użyteczności Organizacja Narodów Zjednoczonych – lecz nieporównywalnie większą rolę odgrywają mniejsze sojusze państw o wspólnych celach politycznych i gospodarczych: Unia Południowa, Unia Alpejska, Unia Założycieli, Frager, Unia Bałkańska, Unia Słowiańska, Unia Skandynawska. Nie chodzi przecież o ustalanie polityki celnej i imigracyjnej, bo rynek globalny tak czy owak wymusza tu wszędzie maksymalne swobody – co najwyżej właśnie o wspólne planowanie strategii kryzysów. Mały Burre kilka lat temu złożył w Czermie kurtuazyjną wizytę, Buzdygan i Struś przyjmowali go miodem i pieczonym prosięciem. Oficjalnie Burre nie posiada żadnej władzy, lecz gdyby rzekł złe słowo – nie podpisalibyśmy ćwierci tych kontraktów, które podpisaliśmy.

– Mały Burre – cedzi pan Jan – ma trzy córki. Panny, słyszę, wielce urodziwe i kochliwe. Dwie już się zaręczyły. Z kim zaręczyła się najstarsza, panie Ćwiecz?

– Z Wichwitzem?

– A teraz przysięgnij się pan na ten krzyż święty, że ojciec jednego z moich dyrektorów nie usiecze przyszłego zięcia ambasadora Alp.

– Akurat, Kmicica będę ci jeszcze odstawiał – mamroczę.

– Przysięgasz! – ryczy Buzdygan, łapiąc za rękę karabeli.

Wyrecytowawszy przysięgę, pochylałam się i całuję złoty krucyfik.

– Co za porno.

– Tato, ty mnie nie słuchasz, on – nie wyrzucaj mnie teraz! – ten łorany Wichwitz – na litość boską – ile jeszcze, Grzesiu?

– Dziesięć minut. Chyba że złapię się za kierownicę.

– Łap, łap, ubezpieczenie biorę na siebie.

Szofer wyłącza pilota i nagłym szarpnięciem wrywa nas z kolumny pojazdów; przyśpieszamy na lewym pasie.

Niechący trącam mudrującą energicznie Azę. Skupia na mnie wzrok i unosi pytająco brew.

– Wyblokował mnie – krzywię się. – Nie mam podglądu.

– Sekundanci?

– Nie wpuszczą mnie bez alarmu, teraz już wszyscy wyłączeni. Ósma czterdzieści trzy. Sprawdziłaś?

– Mhm, sam zobacz. O co właściwie twój vater się z nim bije?

– Aaa, on tak zawsze.

Łapię na kontaktówki pliki newsowe. Aza szukała głównie po publicznych filtrach – bo tak najszybciej i najłatwiej – więc wyłowiła przede wszystkim podrasowane oficjałki: Wichwitz na nartach, Wichwitz na premierze *Dziadów*, Wichwitz na balu charytatywnym – tańczy z gładką blondynką. ID: Fiona Burre.

Joachim Wichwitz + Fiona Burre: „Romans w wyższych sferach”, „Zaręczyny magnatów”, „Pierścionek dla hrabianki”.

– Co: zawsze?

– Honor. Kiedyś na raucie wyzwiał komisarza policji za „niestosowny żart”.

– I co?

– Z komisarzem? Przeżył.

Joachim Wichwitz + pojedynek. Trzy nazwiska skojarzone – do ostatniego zarejestrowanego pojedynku Wichwitztza doszło przed dwoma laty. Draśnięcia, żadnych głębszych ran. Dwa razy Wichwitz przegrał.

Zdejmuję sobie zaćmę z kontaktów. Aza spogląda na mgielne łąki parku Piłsudskiego, gdy łamiąc przepisy, pędzimy jedną z jego alei hippicznych. Wóz podskakuje, mijamy zagajnik i pomnik Marszałka, Grześ skręca ku zjazdowi na polanę. Kraczą wrony.

– Czego chciał od ciebie Byczuś?

– Kto? – Aza odwraca wzrok od okna.

– Małżecki, bezpieczniak Buzdygana. Czekał na ciebie pod parkingową służą.

– Aa, ten gołota. Musiałam podpisać zobowiązania do zachowania tajemnicy, straszliwe klątwy prawne, w dwunastu egzemplarzach; pióro było wilgotne i upuściłam, przepraszam, jeśli czekałeś...

– Jako moja asystentka i tak musiałabyś podpisać, ale ten pośpiech – Grześ, zatrzymaj tu!

Samochód staje za nierównym szeregiem wozów zaparkowanych pod młodymi topolami.

Pierwszy krok i but w błocie. Otrząsam nogę z obrzydzeniem. Powietrze jest chłodne i wilgotne, kontaktówki szczypią w oczy. Mrugam, obchodząc automobile.

Tamci oczywiście spostrzegli nasz przyjazd, ojciec zbliża się szybkim krokiem, wyraźnie zirytowany, szerokie rękawy białej koszuli nadymają się na wietrze. Jak zwykle przed pojedynkiem ostrzygł się na łyso; teraz lśni mu na czaszce – pot, a może mgła skroplona, a może martwe werki atmosferyczne.

– Co ty sobie wyobrażasz, wpadać tu w ostatniej chwili, już wszystko –
Trzeba odbić jego pierwszy gniew.

– Tato, poznaj pannę Annę Zoję Stefańską, moją nową asystentkę.

Zdażyła już obejść samochody z drugiej strony. Dyga, uniósłszy rękę.

Ojciec zatrzymuje się, kłania głęboko, przeciąga pocałunek składany na dłoni Azy – nie byłby sobą.

– Cała przyjemność. Co się stało z Jakubem?

– No więc właśnie. – Próbuję ująć go pod ramię i odciągnąć pod drzewa, lecz wyrywa się, odstępuję. – Też szabelka. Na litość boską, ten jeden raz, błagam cię, nie musisz przecież zawsze –

– I ja takiego syna wychowałem, tfu! Dziadek się w grobie przewraca!

– Dziadek, jak się kiedykolwiek w życiu z kim bił, to chyba tylko w kolejce po kuroniówkę – mruczę pod nosem.

On się ogląda na ludzi zebranych przy owalu wyznaczonym wbitymi w grunt szpilami werkalergów; czekają bez słowa, lecz lekko już zniecierpliwieni. Wichwiz, również w białej koszuli, tnie nerwowo powietrze obnażoną szablą. Siedzący w otwartych drzwiach ambulansu lekarz pali papierosa. Ambulans znajduje się najbliżej, na końcu szeregu samochodów, doktor zapewne dobrze słyszy naszą sprzeczkę.

– Rozumiem, że nie chce się pan wycofać – wtrąca Aza. – Ale wystarczyłoby, mhm, zaprzeczyć obrazie.

Rzuca mi plik z Boziewiczem. Zezuję na siwe chmury, gdzie rozsmarowało na kontaktówkach tekst:

„Art. 105.

Zaprzeczenie obrazu jest wystarczającym zadośćuczynieniem w tych wszystkich wypadkach, w których obraza faktycznie nastąpiła, jednakowoż

ogranicza się do poniżenia miłości własnej obrazonego, ale sama w sobie jest niegrzecznością towarzyską.

Inaczej określając: zaprzeczenie obrazy wystarcza we wszystkich przypadkach lżejszej zniewagi, a oczywiście o ile nie jest zniewagą czynną”.

– Tyś go wyzwał od – od czego? „groszowych rywinków”?

Ojciec wzrusza ramionami.

– Co to są „groszowe rywinki”?

Wzrusza ponownie.

– A miałeś w ogóle jakiś poważny powód? Czy po prostu brakło ci rozrywki w tym tygodniu? Od kiedy ty w ogóle chodzisz do term rzymskich?

Aza powstrzymuje mnie gestem.

– Panie Ćwiecz – zbliża się do ojca – jeśli nie chce pan osobiście, można pisemnie, przez sekundantów –

– Po moim trupie!

Panna spogląda błagalnie, ujmuje go delikatnie za ramię, czerwone paznokcie na białej tkaninie.

– Ale może w takim razie da się to załatwić bez wyrządzania mu krzywdy. Panie Ćwiecz. Przecież pan pokona go bez trudu, Zygmunt mi opowiadał, nie musi go pan okaleczać, prawda? Nie jest pan przecież jak te młodziki, nie zależy panu na krwi. Jakie warunki spisali sekundanci?

– Oczywiście, oczywiście, ale to jednak się tak nie da, moja droga – ojciec kręci głową, krzywi wargi. – Jak los pozwoli... Żadnych gwarancji.

„Art. 76.

Gentlemanowi nie wolno przyjąć mandatu wówczas, jeśli jego klient żąda z góry pojedynku aż do śmierci jednego z walczących”.

Ale mało to pocieszające, zważywszy, że córeczka Burre dostanie spazmów na widok byle blizny u ukochanego, choćby i zesłała ona pod werklazem w jeden dzień; a ojciec jeszcze nigdy nie wypuścił spod klingi człeka nienaznaczonego. Śmierci też się przydarzały.

– Może gdybyśmy porozmawiali jeszcze z sekundantami obu stron... – myśli na głos Aza. Wyraźnie widzę, jak w kolejnych próbach rozwiązania problemu panna usiłuje się zaprezentować jako energiczna, zdecydowana

profesjonalistka. W pewien sposób jest to nawet rozczulające; w pewien – zasmucające.

– Ani się ważcie! – Ojciec odskakuje jak oparzony. – I odczep się wreszcie, Zygmus, czas ucieka, zresztą zaraz będzie po sprawie, tylko się mi nie wtrącaj, dobrze? Waćpanno.

Kłania się i odchodzi ku placowi pojedynekowemu.

Opieram się o maskę merca, wyjmuję papierośnicę.

– Więcej niż kwadrans opóźnienia i zapiszą niehonorową ucieczkę. – Zapalam. – Gdybym dał mu z zaskoczenia w łeb, jako chory, nie w pełni sił, musiałby się wycofać. Przynajmniej na kilka dni.

Aza spogląda na mnie, na ojca, na sekundantów, Wichwitza, policjanta.

– To co? Rezygnujemy?

– Trzeba liczyć na lekką ranę. Pójdę, przeproszę, pokłócę się na jego oczach z vaterem, scena przecieknie na plotkarskie serwisy; jakoś się ułoży.

– On naprawdę taki fehmistrz?

– Uczył w jednym z pierwszych liceów szermierczych. Gdy potem prywatne szkoły zaczęły wprowadzać klasy szabli, napisał podręcznik: *Mały Wołodyjowski*. W domu miałem to dzień po dniu. Ekstrema sarmatyzmu. My już jesteśmy drugie pokolenie, połykamy jako normę albo kontestujemy – a dla niego to ideologia życia. Trzeba było znaleźć jakieś chwytliwe memy dla odbudowy polskiego etosu, ja to rozumiem.

– Musiał cię nieźle przećwiczyć.

– Ba!

– Przynajmniej rozmawiacie ze sobą.

– Ano.

Ojciec ma sześćdziesiąt lat, ale jest to sześćdziesiątka werkmajsterowa: soczyste mięśnie, proste plecy, jędrna skóra, jasne oczy, energiczne ruchy, mocny głos. Te bary miał jeszcze przed kuracjami. Nosił wąsy, ostatnio zgolił. Apodyktyczny był zawsze.

Rozmawiamy ze sobą, tak; kilka lat nie rozmawialiśmy, co najwyżej na vircie. Że teraz wpuszcza mnie na kontaktówki i pozwala podglądać swoje pojedynki, to raczej forma jego przewrotnej zemsty: ja nigdy nikogo nie wyzwiałem, a nie potrafię powściągnąć nerwów, gdy on po raz enty

ryzykuje zdrowie i życie – muszę podglądać. Papieros w dłoni odrobinę pomaga.

Obaj – ojciec i Wichwitz – zdjęli koszule, lekarz i sanitariusz okręcają ich teraz przepisowymi bandażami: przegub lewej ręki, przegub prawej ręki, brzuch i plecy. Obserwator policyjny sprawdza szable i ziemię (trawa jest niedozwolona). Dokoła gniazd szpil werkalergiczych, wbitych głęboko w grunt, obracają się wiry szarej mgły, z których spada powoli migoczący w promieniach słońca pył. Szpile wyznaczają granice owalu placu pojedynkowego.

„Art. 247.

Wielkość miejsca walki ma wynosić – przy pojedynku na szable: 15 metrów długości i co najmniej 6 metrów szerokości”.

– Baczność!

Ojciec i Wichwitz stają na swoich stanowiskach, obok nich sekundanci z nagimi szablami w dłoniach. Bandaż ojca jest biały, Wichwitza – białobłękitny.

– Złóż się!

Okrzyk podrywa z drzew stadko czarnych ptaszysk, przelatują nad nami, zataczając krąg; unoszę na chwilę głowę.

Sekundanci podali szable klientom, ojciec i Wichwitz salutują sobie lśniąca stają.

Z wozu wysiadł także Grzesiu, przypatruje się widowisku z założonymi na piersi rękoma.

– Vater waszej miłości?

– Aha.

– Byku. A ten młodziak spietrany, widać. Bedzie dobrze.

– Mhm.

Aza przypatruje mi się kątem oka.

Uśmiecham się krzywo. Ciepły dym w płucach.

Na priva dobija się nieprzerwanie Buzdygan; ignoruję go, gaszę dzwony.

– Bij!

Ruszają i od razu widzę, że coś jest nie tak. Odrzucam papieros, prostuję się. Zły balans ciała i to ugięcie nóg – a kiedy Wichwitz uderza wlew, zasłona ojca jest odrobinę spóźniona, łapie cios na sztych, zamiast na

zastawę. Kiedy przechodzi do cięcia z podlewu, też jest zbyt wolny i nieprecyzyjny; Wichwitz spuszcza je na jelec, ale mógłby się uchylić. Ojciec to spostrzega, odstępuje, krok, drugi, trzeci, prawie do granicy szpil werkalgicznych, wciąga do płuc powietrze, widzę, jak próbuje się ocucić głębokimi oddechami.

Chcę krzyknąć, ostrzec go, zatrzymać pojedynek – ale wiem, że nie powinienem, w tej chwili to najgorsze, co mógłbym uczynić. Dłonie zwijają się w pięści. Jak wszyscy zebrani, zachowuję milczenie i patrzę w bezruchu.

Słysząc jedynie głośne oddechy walczących i zgrzyt stali. Cięcie, zasłona, cięcie, zasłona, cięcie, unik, cięcie, cięcie, dostał w głowę, pada.

– Stój! – Ostatnia komenda. Zadyszany Wichwitz odstępuje.

Podbiegamy.

Teraz krzyczą wszyscy, wszyscy w ruchu, muszę się przepychać. Obok przeciska się lekarz.

Ojciec leży twarzą do ziemi, widać krew w błocie, ale nie widać rany, dopiero gdy doktor, uklęknięwszy, odwraca go na wznak, ukazuje się ukośna bruzda na czole, nad lewym okiem, powoli nabiegająca czerwienią. Spod skóry przebijają krawędzie kości czaszki. Stracił przytomność natychmiast, ostrze musiało sięgnąć mózgu.

– Odsunąć się, do cholery! Tutaj!

Ambulans zatrzymuje się tuż nad ciałem, wysuwa się kokon, cofamy się. Półprzezroczysta macica medwerków obejmuje ojca, lekarz mudruje zawzięcie, palce migają w wirtuozerskich układach. Sekundanci i świadkowie przyglądają się, rozmawiając cicho w grupkach.

Ktoś szarpie mnie za ramię. Aza?

– Pan Ćwiecz? – Rozbandażowywany Wichwitz usiłuje zajrzeć mi w oczy; odwracam twarz. – Panie Ćwiecz, chciałbym, żeby pan wiedział, że ja naprawdę –

– *Excusez-moi.*

Uciekam za ambulans (kokon powoli cofa się do wnętrza wozu). Tutaj nie dosięgną mnie ich spojrzenia. Gapią się tylko kruki i wrony siedzące na gałęziach wierzb oddzielających polanę od alei hippicznej. A z tej alei – rumak o sierści jak atrament zatrzymał się właśnie między drzewami – z tej alei amazonka przypatruje się zamieszaniu z męskiego siodła. Białe

bryczesy, czarne oficerki, białe koronki, ogniście czerwony rajtrok, ręką z palcatem osłania oczy od słońca. Opieram się plecami o ambulans. Amazonka przekrzywia głowę, przygląda mi się zmrużonymi oczyma. Odruchowo kłaniam się. Salutuje palcatem.

Na privie matka szepcze mi do ucha:

– Żyje, żyje, żyje, jedź z nim, będę się modlić, zobaczysz, wszystko będzie dobrze, nie martw się.

– To jest jakieś urewskie oszustwo, mammo. To nie tak miało być!

– Ciii.

Splunąłbym, kopnął samochód, zaklął głośno, zawył do nieba – amazonka patrzy, tylko więc kręcę głową i syczę przez zęby, gdy kokon z ojcem znika we wnętrzu ambulansu, a matka szepcze mi w głowie pogodnie modlitwy, z każdą sekundą coraz bardziej irytujące. Verdammt, to jest czas na gniew, nie na pokorę!

Kobiety cierpienie zbliża do Boga, mężczyzn – oddala.

Legenda ludowa

– Crux, powiadają, Crux mu na imię. Towarzysz Crux, szwagier Crux, pan Crux-Kruczyński. W jego żyłach płynie krew Gierka, Wałęsy, Leppera i Glińskiego. Wszedł z nocy blokowisk, z dymu melin śródmiejskich, z majaków socjerów. Śnią na jawie z otwartymi oczyma, godziny, dni całe, z okien widzą światła szos, po których pędzą w swych luksusach jaśnie państwo. Począł się Crux z brudnej strzykawki dragmana, z krwi przypadkowej ofiary mołojców, z czarnego virtu socjerskiego. Najpierw się go bano, zanim o nim mówiono; najpierw o nim mówiono, zanim dokonał cudu; najpierw dokonał cudu, zanim go ujrano. Młódź strzela sobie na skórze jego imię, maluje na oknach jego herby, graffituje nim niebo – takie jest porno. Crux, Crux. „Pracować ci się zachciało? Czekaj, przyjdzie Crux, to popamiętasz, zaprzańcu!” Panowie ścigają go, oczywiście. Jest list gończy, chociaż nie ma człowieka; znają tylko ksywę, imię legendarne. Crux, Kruczyński. I wygląd, też z legendy: niski kaleka w starym dresie, na szyi wszystkie możliwe i niemożliwe metale, w ślepiach słońca laserowe, diamenty w ustach.

– Więc władze wiedzą. Co mówią?

– Och, wersja oficjalna – to znaczy wersja policmajstrów – jest oczywiście banalna. Urodził się w rodzinie przeżartych dragami socjerów, kto był jego ojcem, nie wiadomo, stryj, kuzyn, dziadek, w każdym razie geny mocno zasupłane: karzeł, garbus i kuternoga. Ale umysł ma sprawny, choć pewnie też pokręcony, i siedząc całymi dniami przy kompie – bo i tak nie mógł się ruszyć, kaleka, więc co miał robić – od małego ćwiczył się w tek-arcie, i w końcu taki werkmajster z niego wyrósł, że potrafi hackować dowolne werki, rządowe, wojskowe, korporacyjne, i rządzi niepodzielnie swym otoczeniem, bo wszelka materia uległa jest jego algorytmom. To tu, w mieście – ale legenda się szerzy, przyjeżdżają socjerzy zewsząd, niech pobłogosławi, niech dotknie – sam wiesz, że dotyk wystarcza, dotyk leczy, dotyk zabija.

– Aza!

– Ścigają go za terroryzm, za morderstwo, za podżeganie do morderstw. Ale na kanałach płatnych o nim nie usłyszysz, mówią tylko na publicznych, socjerskich. I też rzadko otwarcie; pojawia się niejasny rysopis – a i tak wszyscy wiedzą, że chodzi o Cruxa. Wszyscy tam, na dole, w socjaliskach, w ziomalstwach.

– Kryją go?

– Sam się kryje. Nikt nie wie, gdzie mieszka; on się tylko p o j a w i a. Ale tak, istotnie – marny los donosicieli, kapusiów. Żebyś jednak nie zbudował sobie fałszywego obrazu: nie jest Robin Hoodem, nie rozdaje socjerom bogactw, nie spełnia życzeń do złotej rybki. Chociaż niektórzy modlą się do niego.

– Modlą?

– Widziałam kaplice. Pod betonem, pod ścianą peerelowskiego bloku – ogniste graffiti i różańce herbowe, rozgnieciony obcasem luksus i ciemna kropla dragu utoczona na ziemię.

– Jakie, u licha, „różańce herbowe”?

– Mołojec wychodzi z ziomalstwa, dopada jaśnie pana, nóżka, kuzia, bryko, i zdejmuje mu z palca pierścień herbowy. Tak zbiera – kilka, kilkanaście – nawleka je na strunę i składa Cruxowi w ofierze. Wiszą potem te wota, nikt nie zdejmie, Crux patrzy, wiszą na prętach zbrojeniowych, na starych antenach, radiatorach.

- Jezukryste, to wszystko są bandyci, mówisz o bandytach.
- Swoich nie plewią, panów tylko.
- Po polsku, proszę.
- Crux potrafi podnieść z grobu.
- Legenda ludowa, tak?
- Albo i nie legenda. Trzy lata temu, pamiętasz, bruta uliczna, wymiana lepperów w całym kraju. Policja posiała neurowerki, pamiętasz, tłum szedł na centrum. W efekcie pół setki wymóżdżonych, werki przeżarły im płyty skroniowe. Na pewno pamiętasz, było w wysokich kanałach. Co robiły rodziny? Zabierały te rośliny i wiozły, wlokły do Cruxa.
- To znaczy dokąd?
- Tam, na dół, w głąb socjalisk, poza sieć, poza zasięg kamer, satelitów, gowerków. Pod jego kapliczki, w cieniu betonu. Mój kuzyn – nie ten, inny – mój kuzyn, Maciejko, znalazł się między nimi, kompletnie wyłorany. Lekarze powiedzieli, że struktury neuro wyprażone do cna, nie ma z czego odtworzyć umysłu, skoro informacja utracona. Ale Crux zwrócił mu duszę i Maciejko hartuje teraz u pijaków nowego leppera, ziany bucuś.
- Co ty mówisz? Aza!
- Tylko zacyc Cruxowi przykrakać musiał; bo cena jest zawsze. Ale żyza. Znaczy, żyw i przy świadomości. Ja cię poprowadzę. Pokłonisz się, hołdujesz, przyświeci, vatera ci odżyzi.
- Czy ja dobrze rozumiem? Chcesz –
- Moja wina, ja jestem odpowiedzialna. Nie mam herbu, ale mam honor.
- Nie twoja.
- Ja mu przyniosłam śmierć na czystej dłoni.

Siedzimy w salonie poczekalni w skrzydle neurologii szpitala Przemienienia Pańskiego. My: ja, matka, Aza, sekretarz Wichwitza, dwóch Szwedów z biura ojca, jego sekundant, policmajster. Policmajster mudruje na wyślepie: on jest tu w pracy.

Postawiony przy drzwiach szpitalny gołota przynosi matce szklanę z wodą mineralną. Matka uśmiecha się promiennie, dziękując mu cicho. Tego już za wiele, nie wytrzymuję, wychodzę.

Za salonem korytarz zakręca ku szerokiemu tarasowi okrążającemu piętro – siódme, najwyższe. Stąd łagodne pochylnie prowadzą na dach, gdzie znajduje się lądowisko dla kopterów.

Przysiadam na marmurowej ławeczce. Po prawej ręce mam jasnoblęski luksus centrum; dalej, za rzeką, stoją we mgle dzielnice socjalne, szara panorama regularnej zabudowy, aż po horyzont. Niebo pozostaje zachmurzone i zdaje mi się, że wciąż słyszę krakanie kruków i wron – to tylko szpitalne słupy werkalergowe trzeszczą, trawiąc nano niesione z miasta przez wilgotny wiatr. Drżą włosy na dłoniach, gdy zapalam papierosa.

– Mogę?

Wzruszam ramionami.

Aza siada obok. Ławeczka jest niska, w wysokich obcasach wygodniej wyciągnąć pannie nogi przed siebie. Kontempluję ponuro ich aerodynamiczną geometrię.

– Dzwonił do mnie Buzdygan, mówi, że go wyblokowałeś.

– Czego chciał? Powinien być zadowolony. Mimo wszystko teraz to Burre ma u niego dług honorowy.

– Brzmi, jakbyś winił Buzdygana.

– A broń mnie Bóg!

– Psychologia. Poczestujesz mnie? Dzięki. Psychologia, Zygmunt: lepiej dla ciebie, że vater przegrał, więc chociaż źle mu nie życzyłeś, sam teraz masz poczucie winy. Kto odnosi korzyść, ten może nie zawsze jest winny, ale zawsze czuje się winnym.

– Poszła won.

– Psychologia, kurs podstawowy. Jak się wydobyć z niesłusznego poczucia winy? To jest już zresztą fundament wszelkich kursów asertywności. Przeprowadzamy racjonalny rozbiór faktów i motywów, aż widzimy, że uczucie jest bezzasadne. Co prawda ty na dodatek masz za sobą ten konflikt z ojcem –

– Aaa, więc po to pan Jan dzwonił? Posłał cię, żebyś urządziła mi tu improwizowany seans psychoanalizy? A może trzymasz go tam na privie, co? A na podwórzedziu – Małego Freuda 7.0?

– Po kolei. Czy naprawdę uważasz, że twoje pojawienie się wyprowadziło vatera z równowagi na tyle, że dlatego właśnie przegrał?

Kręcę głową.

– To nie było, nie było normalne. Oglądałem wszystkie jego pojedynki. Co mu się stało? Jakby został nagle odurzony, zakręciło mu się w głowie, stracił dech...

– Lekarz badał ich przed walką.

– To nic nie znaczy. Taki Buzdygan, gdyby mógł, oblałby cały park nacelowanymi na vatera werkami.

– Osuwasz się w paranoję. Stały wszędzie przepisowe werkalergi, widziałeś. Policjant nie podniósł alarmu.

– Więc w kontakcie bezpośrednim, przenoszone nie drogą powietrzną. Skóra-skóra. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Myśl, Zygmunt, myśl. To wszystko się kupy nie trzyma. Wyszedłeś z Czermu przez służbę parkingową, byłeś czysty, Buzdygan nie mógł zasadzić na tobie żadnych werków. Gdyby... Co? Puść! No puszczaj!

Wykręcam jej ramiona, upuściła papieros. Próbuje się uwolnić, nie potrafi wstać z niskiej ławki. Przyciskam ją do balustrady.

– Dłonie! Pokaż swoje dłonie!

– Co –

Czerwone paznokcie, opalona skóra, bursztynowe virścionki.

– Werkmać! Za późno!

Puszczam ją, wstaję. Nic nie udowodnię, weszliśmy do Szpitala Przemienienia Pańskiego przez służbę kliniczną, nie pozostał ślad.

Aza masuje nadgarstki. Podnosi się, wygładza spódniczkę.

– Panie Ćwicz. Spodziewam się –

– Pióro Małżeckiego.

Nie rozumie, widzę, że nie rozumie.

Ale już zaczyna wątpić, już marszczy brwi nie w gniewie, lecz w zamyśleniu, sięgając na oślep pamięcią wstecz.

Na tarasie pojawia się sanitariusz z wózkiem zamiennego fleszu. Mija nas – nawet nań nie spoglądamy.

Aza mruga, jakby wpadło jej coś do oka – i istotnie, łzy lśnią pod jej powiekami. Odrzuca zaplecione włosy na plecy, zakłada ramiona na piersi – zrozumiała, teraz zrozumiała.

– Gdybym tylko –

Po lokalu wchodzi mi na kontakt doktor Bierzyński. Stoi w salonie poczekalni neuro i mówi do matki:

– ...są niestety nieodwracalne. Interwencje werkchirurgiczne potrafią zazwyczaj odtworzyć każdą tkankę. I, technicznie rzecz biorąc, moglibyśmy w końcu odtworzyć także tkankę mózgową. Mięsień musi być jedynie mięśniem tego samego rodzaju, by spełniać swą funkcję – wszelako tkanka mózgową musiałaby być nie tylko taką samą, ale t a s a m ą tkanką, zapisem tej samej pamięci, osobowości. Przy podobnie rozległych uszkodzeniach struktura nie jest w stanie sama się odbudować – co najwyżej moglibyśmy skonstruować nową. To znaczy, nowego człowieka w ciele pana Ćwiecza. Tak czy owak, nie byłby to już pan Roman Ćwiecz. Jego już nie ma. Przykro mi.

Mutter uśmiecha się do doktora Bierzyńskiego ze świętą wyrozumiałością.

– Ja wiem, że pan musi tak mówić, doktorze, ubezpieczyciele każą panu

–

Odcinam transmisję, z wściekłości niemal się trzęsąc.

Aza również musiała mieć Bierzyńskiego na kontakcie. Po raz pierwszy całkowicie opada z jej twarzy maska wzorcowej młodej profesjonalistki, grywnej, zrywnej i asertywnej.

– Kiedy ja naprawdę... – przełyka ślinę.

– Wyblokowałaś się? Wyblokuj.

Kiwa głową.

Wspinamy się na dach szpitala, przechodzimy między pękatymi kopterami. Zatrzymujemy się dopiero przy krawędzi dachu, tuż pod słupem werkalergowym. Włosy stają mi dęba na głowie, mrowi język, metaliczny smak drażni usta.

– Ma jego profil – mówię cicho – musi mieć, Buzdygan ma profile psychologiczne wszystkich członków rodzin wszystkich swoich najbliższych współpracowników. Więc wiedział, że jeśli pojedziesz ze mną, ojciec nawet w największym gniewie nie sprzeniewierzy się tradycji. Wszystko się zmienia, oprócz odruchów. Pocałunek w rękę to idealny sposób. Czymkolwiek Małżecki pokrył pióro, trafiło to bezpośrednio do organizmu vatera.

– Zrobię analizy, pacjentów nie wwożą przecież przez służbę, był w kokonie –

– Sądziś, że werki nie rozłożyły się zaraz po wykonaniu zadania? Wystarczyło zaburzyć lekko równowagę hormonalną organizmu. Do tego nie trzeba żadnych mechanicznych inwazji. Buzdygan nie popełnia takich błędów.

Aza przygryza wargę.

– Nie mamy więc nawet poszlak. To naprawdę może być zbieg okoliczności –

– Aza!

Opuszcza głowę, nagle bardziej podobna do skarconej dziewczynki niż wannabe kobiety sukcesu.

– Ziany Buzdygan, karcz jego blada – mamrocze ledwo zrozumiale – panu wyżyżany.

No tak, trzeba spojrzeć z punktu widzenia Azy: nie każdego dnia człowiek się dowiaduje, że współuczestniczył – w czym? – w próbie morderstwa, tak, i to przecież próbie udanej – w morderstwie.

Obejmuję ją. Drży – od tego zimnego wiatru, może istotnie także od niego.

– Czego cię uczyli na kursach asertywności? – szepczę. – Nie ma tu twojej winy.

– Jja –

– Ciii. Tak się gra między magnatami, tak magnaci grali zawsze.

Ale czuję, że do niej nie trafiam, wstrząs był zbyt mocny. O bogaczach opowiada się najczarniejsze historie, w duchu jednak nie wierząc w nie. Nie wierzą, nie mogą wierzyć zwłaszcza tacy jak Aza: młodzi parweniusze, nakierowani na sukces niczym samonaprowadzający się pocisk, gorliwi wyznawcy świata sztywnych hierarchii – skoro przyszli z Dołu, to znaczy, że istnieje Góra, prawda? I jak teraz pannie wytłumaczyć? Nie po to ciułała na ręcznie szyte kostiumy, nie po to ćwiczyła przed lustrem profesjonalne grymasy. Cynizm to narkotyk sączony latami w małych dawkach; podany od razu w jednym zastrzyku – zabija nieuodporniony organizm.

– Buzdygan... – zaczyna Aza.

– Nie znasz Buzdygana. Daj spokój.

Ja, niestety, znam. Jan Andrzej Buzdygan herbu Pobóg jest głową jednej z Rodzin. Na siatce ustrojów politycznych pomiędzy demokracją absolutną (zrealizowaną właściwie tylko w greckich polis), arystokracją absolutną (tyraniu, totalitaryzmów), demokracją konstytucyjną (USA XIX wieku, Europy ery przedinformacyjnej) oraz arystokracją konstytucyjną (monarchii oświeconych czy dzisiejszych Chin) nasz ustrój odpowiada pozycji arystokracji moderowanej: dzierżyciele władzy się zmieniają, lecz zawsze pochodzą z tej samej elity; na owe zmiany wpływają zaś między innymi wyniki głosowań ludu (który musi wierzyć, iż może wybrać każdego), stanowiące odbicie aktualnego stosunku sił wewnątrz elity – kto miał akurat więcej pieniędzy i sprytu, kto lepiej zbajerował socjerów. Zawsze więc rządzą panowie magnaci lub ich reprezentanci. Rodzin jest w Polsce dwanaście, Polska należy do dwunastu Rodzin. Jan Andrzej Buzdygan jest głową jednej z nich.

Aza drży coraz mocniej, coraz mniej zrozumiałe są jej słowa – aż wreszcie orientuję się, że panna płacze w moich ramionach. Teraz odruchy opiekuńcze i reakcje czułości całkowicie biorą górę. Przytulam ją, prowadzę pod wiatę. Wysokie obcasy nie wybijają już marszowego rytmu. Ttuk, ttuk, ttuk-tukk, łamie się chód dziewczyny. Jest niższa ode mnie, o ile niższa, nie zwróciłem przedtem uwagi, nie była różnica widoczna, gdy Aza patrzyła hardo wyprostowana, gdy słowa padały twarde jak plast.

Całuję ją lekko w czubek głowy, w zaplecione ciemne włosy.

– Teraz już na pewno zostaniesz moją asystentką, Jakub odchodzi.

I to była właściwa rzecz do powiedzenia. Aza odrywa się ode mnie, ociera szybko łzy, zaciska wargi. Wysunięta broda, ręce przy bokach.

– Przeżyje, będzie żył – mówi gniewnie – wróci.

– Słyszałaś, co doktor –

– Łorać doktora. Nie wszystko panowie wiedzą. Zmartwychwstanie, jak będzie trza.

Zapada się w socjerstwo na moich oczach – niemal jakbym obserwował odwróconą wersję przyśpieszonego filmu o ewolucji *Homo sapiens*.

– Co – szydę – chowacie tam jakiegoś małokalibrowego Chrystusa?

– Mesjasze zawsze przychodzą spośród ludów najbardziej pogardzanych.

– Aza uśmiecha się ironicznie, ale to jest tak zimna ironia, że mróz spina mi kręgosłup; mimowolnie prostuję się i marszczę brwi.

– Crux, powiadają, Crux mu na imię – intonuje panna ciemna. – Towarzysz Crux, szwagier Crux, pan Crux-Kruczyński. W jego żyłach płynie krew Gierka, Wałęsy, Leppera i Glińskiego. Wszedł z nocy blokowisk, z dymu melin śródmiejskich, z majaków socjerów...

Stasimon

*Nie wszyscy z jednym szczęściem na świat się rodzą:
Szerzej jedni niż drudzy swe płoty grodzą,
Ten ma wiele nad insze w zacności domu,
Ten dobrą sławą nie da naprzód nikomu,*

*Za tym przyjaciół więcej. Śmierć sprawiedliwa
Jednakiemu na wszystkie prawa używa.
Kto bądź, ten bądź – na kogo los naprzód padnie,
Tak pana, jako sługę poima snadnie.*

Tragedia proletariatu

Największą tragedią proletariatu okazała się nanotechnologia.

Nie chodzi nawet o to, czego spodziewali się wszyscy luddyci XXI wieku, to znaczy o odebranie kolejnych kilkunastu procent miejsc pracy przez maszyny, maszyny już w ogóle niewidoczne. Oczywiście odegrało to swoją rolę – chociaż każda nowa technologia buduje przecież stopniowo wielkie zaplecze powiązanych z nią usług oraz przemysłu developerskiego, rozmaitej maści technokratów. Tak samo komputery, odebrawszy ludziom wiele zawodów i funkcji, stworzyły zarazem niebywale popularną profesję informatyka i technika komputerowego, czy to faktycznie piszącego programy, czy też jedynie wyspecjalizowanego w posługiwaniu się nimi. Toteż na rynku wciąż istnieje zapotrzebowanie na wykwalifikowanych werkmanów. Uniwersytety nie nadążają z wypuszczaniem magistrów nano.

Ostateczną tragedią i pogrzebem proletariatu okazało się więc nie to, że werki odebrały ludziom pracę, lecz – że dały im chleb.

Dawniej istniał oczywisty przymus pracy: kto nie pracował, ten nie miał co jeść, nie miał gdzie mieszkać, nie miał się za co leczyć, umierał, on i jego dzieci. XX wiek wyraźnie złagodził presję, zwłaszcza w Europie. Leczyć musiało cię państwo. Wkrótce także państwo musiało zagwarantować dach nad głową. W XXI wieku wysokość gwarancji socjalnych wzrosła zaś tak wysoko, iż państwo nie pozwala także głodować.

Ostatnie ekonomiczne przymusy – że pracować musi przynajmniej tyle podatników, by utrzymać tych niepracujących – upadły bowiem z chwilą wejścia użytkowego nano. Werkkuchenka w każdym domu! Pamiętam, jak swego czasu wygrywano nawet wybory pod tym hasłem. Teraz koszty dostarczania do socjalisk wody, minerałów i pulpy COH stanowią drobny ułamek dawnego zasiłku socjalnego. Werkkuchnie zajmują się resztą. Nie głoduje nikt.

Raj ludzi pracy to życie bez konieczności pracy. Czekali na to od pokoleń, od czasów Szeli, Gierka i Kwaśniewskiego. Należy im się – i mają! Po co poniżać się, szukając zatrudnienia, po co męczyć się latami w szkołach, po co kłaniać się panom, po co pozwalać się wyzyskiwać obcym kapitalistom, oddawać dzieci w kierat wrednych krwiopijców i grabieżców narodu polskiego? Nie muszą; socwerki dały im wolność. Tryumf proletariatu to śmierć proletariatu – narodziły się Ziomalstwa Socjału.

Tu życie toczy się w leniwym rytmie betonowych wschodów i zachodów Słońca. Ludzie budzą się i zasypiają, spożywają posiłki i wydalają, awanturują się i kopulują zgodnie z ramówką programów sieci publicznych: do południa tapety migoczą głównie obrazami kościelnymi, transmisji mszy i modlitw, różańców i Aniołów Pańskich – wtedy tkwią przed ekranami socjerzy najstarsi, zwłaszcza kobiety, nie ujrysz ich w oknach, na podwórkach czy ulicach ziomalstw; po południu królują sagi romantyczne i sagi przygodowe, plotkarnie, spowiedniki i sport dla średniego pokolenia; potem programy dla nastolatków, seks, muzyka i adrenalina – i koło obraca się od nowa. Niekiedy wydaje się, że rytm przyśpiesza, co kilka lat: w czas wyborów, w czas zmiany lepperów, pielgrzymek relikwii papieskich, mundialu. Z góry jednak wiadomo, że wszystko wróci do normy: socjerzy, 20 milionów obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, 80 procent społeczeństwa, drugie i trzecie pokolenie wolnych bezrobotnych – nie

mogą, nie potrafią inaczej żyć, innego życia nie są w stanie sobie wyobrazić.

Z rzadka wybija się z masy statystyczna anomalia, owoc ambicji i determinacji tchniętych w nią chyba przez Ducha Świętego, bo na pewno nie przez rodzinę i sąsiadów, rówieśnych socjerów, jedna na tysiące – Anna Zoja Stefańska.

Mówi, że urodziła się właśnie tutaj, na tej ulicy. Jest już późne popołudnie, przedwieczorna cisza opadła na miasto. W sercu socjaliska pora dnia właściwie nie ma znaczenia: nikt przecież nie idzie do pracy, nikt z pracy nie wraca – co najwyżej uliczni dragmani i pokątni dilerzy ziomalskich biznesów.

– To nie praca – poprawiła mnie Aza – wypluj to słowo. To kant.

– Zarabiają. Co za różnica?

– Ale nie na legalu. I nie mają nad sobą żadnych panów.

W niektórych socjaliskach lepperzy podtrzymują tradycję szkół publicznych – tam można jeszcze ujrzeć rankiem i po południu dzieci z tornistrami, wędrujące grupkami przez pogrążone w letargu dzielnice. Nie tutaj, e-edukacja jest tańsza, miejscowy lepper przeznaczył te fundusze na jakąś kielbasę wyborczą. Dzieci socjerów mogą być tylko socjerami. Na skrzyżowaniu kilkanaście metrów dalej trzy dziewczynki bawią się w wieszanie kota.

Bloki stoją w równych rzędach prostopadle do szerokiej ulicy; pomiędzy nimi – pasy gęstej zieleni. Część budynków pochodzi jeszcze z XX wieku, część zaś postawiono już w werk-teku, z plastu i kraku. Nie dostrzegłbym różnicy, gdyby Aza mnie nie oświeciła. Wszystko przykrywa gruba warstwa pstrokatego graffiti, hackowane gowarki codziennie przepisują oblicze socjaliska, granice wpływu poszczególnych barw i form wyznaczają granice wpływu sztam. Rodzinny dom Azy – pięciokondygnacyjny zygzakowiec – piętnują fioletowe fraktale Bieżyjobów.

– Poznasz ich po werkpigmentcie i ogniach nad głowami – zapowiedziała, wysiadając. – Jeśli się pojawią, padaj od razu na kolana i całuj asfalt. Nie śmieję się, nie żartuję. Tu nawet beton i chmury są po ich stronie.

– Mógłbym uciec pod inną sztamę.

– Nie mógłbyś.

Wysiadłszy, sama uklękła i polizała krawężnik.

– Dość często odwiedzam rodzinę – mruknęła. – Muszę aktualizować werki immuno.

– Aha.

Wzruszyła ramionami i pomaszerowała ku domowi. Akacja 12 B.

Weszła sama; zostałem na zewnątrz. Siedząc samotnie w zamkniętym fiacie, sprawiałbym wrażenie przerażonego turysty. Wysiadłem, oparty o maskę palę papierosa. Werkduj idzie pustą ulicą, ostre, błękitne lśnienie municypalnych disasemblerów – nie uświadczysz tu śmieci, brudu, odchodów zwierzęcych i ludzkich. Choć po drodze mijaliśmy pijaków i dragerów szczających otwarcie pod latarniami, śpiących gromadnie na trawnikach w kałużach rzygowin i ekskrementów, jeszcze nie rozłożonych. Socjaliska w większej części są czyste niczym luksusowe kostnice.

W bramie obok na plastowym krzeselku siedzi neonowa staruszka. Pod lewą ręką – butla werkbimbru samopędneho; w prawej – różaniec herbowy. Zachrypniętym głosem modli się bezmyślnie na sygnetach ułoranych panów:

*Żyzaś Mario, werków pełna, Crux z Tobą,
uwidzionaś Ty między feminami,
i zwidzion towar żyza Twego, werkur.
Ziana Marryo, mutroroża,
virtuj za nami, socjerami,
tera i w godzinę śmierci naszej.
Ament.*

Unosi suchą twarz, wypraną ze zmarszczek topornymi socwerkami kosmetycznymi, spogląda na mnie wielkimi oczyma – i przez straszną chwilę takie wrażenie: widzi, zobaczyła, przejrzała na wylot, virścionki pod rękawiczkami, jaśnie pana pod socjerskim ubraniem, zaraz zdradzi krzykiem całemu blokowisku.

Aza z góry zastrzegła:

– Żadnych ręcznie szytych ciuchów, żadnych virścionków i luksusowego werklażu. Tylko głupi się podkłada bez potrzeby.

Przebraliśmy się więc w krakowe dzinsy i bluzy, ciężkie glany plastowe i kurtki-sekundówki. Rękawiczki są po to, żeby nie odcinać się od vertu;

socjerzy preferują systemy tańsze, nierelatywne: czytniki stacjonarne, skany gestu i krtani, nawet klawiatury i myszki. Virścionki nie są tu porno, virścionki są dla panów. Rękawiczki nosi natomiast prawie każdy mołojec: naga dłoń to naga dusza, dotyk bywa zabójczy.

Krakowy materiał jest miękki, gładki, maszynowo jednorodny. W antyseptycznej tandecie już czuję się na pół socjerem.

Jeden papieros, potem drugi. Te dziewczynki nad martwym kotem, ta babka różańcowa, te głowy w oknach i ci zapici, zadragowani socjerzy na balkonach, ci mołojcy w przejeżdżających z rzadka bezszelestnych wozach, wynurzające się z cieni klatek dziewczyny w jaskrawych lub przezroczystych sukienkach, zabierający je właśnie na dyskorgie i pajarunki młodzieńcy, przepucci pornosowymi werkami w mięśniacze monstra seksapilu ciężkiego jak żelbeton, te psy i koty, ten drager kopulujący ze słupem, tych dwóch pijaków wrzeszczących na całe gardło przekleństwa na siebie i na bezimiennych panów, to płaczące niemowlę, ten pacyfak z chlorofilowymi włosami, ta kobieta wracająca z zakupów, te dzieci plujące na przechodniów z dachu, ci starcy opalający się na boisku koszykówki, ten sprzedawca popiełuszków i wojtyłów kursujący z zachryplą zaśpiewką pod balkonami, ten drager konający pod akacją, te dziewczynki, te dziewczynki. Papieros trzeci, czwarty. Raz, pamiętam, vater zabrał mnie do socjaliska, miałem wtedy – ile? sześć, siedem lat? – żebym zobaczył, żebym poczuł i posmakował. – Oczywiście, że możesz się nie uczyć. Możesz nie odrabiać lekcji i w życiu nie przepracować ani dnia. Popatrz. – Prowadził mnie za rączkę przez pogrążone w takim samym letargu, słoneczne dzielnice socjału.

Krótką mudra dłonią w krakowej rękawiczce: ojciec nadal w kokonie, nie odłączą go przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny, matka nie pozwoli, tego akurat mogę być pewien. Inna rzecz, że teraz z każdą minutą maleją szanse na cudowne wybudzenie, to znaczy – zmartwychwstanie. Muszę pamiętać, by nie dać się omamić słowami. Nie ma szans. Jest tylko głupia nadzieja Azy, jej upór szczeniący.

Piąty papieros. Timer: 19:29. Z okien bloków sygnał dźwiękowy jakiegoś socjerskiego szoła. Na priva dobija się Lipski; wrzucam go do mordoru.

Wraca Aza. Przydeptuję peta. Wsiadamy, odpala fiata.

– Dokąd?

– Dwudziestopięciolecia. To po drugiej stronie miasta.

– Ale co niby ci powiedzieli? Że udziela tam covieczornych audiencji?

Moje szyderstwa odbijają się od niej jak od plastu. Tylko pochyła się bardziej nad kierownicą.

– Dałam słowo. Nie umrze.

Zaciśnięte wargi, wzrok krogulczy, łokcie ciasno przy tułowiu. Nakierowała się na nowy cel, nie zmienię raz obranej trajektorii.

Socjerski fiat sunie siedemdziesiątką.

Wraz z uderzającymi w twarz światłami reklamy kwaśna refleksja: Mój Boże, co ja najlepszego wyprawiam, przecież znam ją zaledwie kilka, kilkanaście godzin. Powinienem siedzieć w Przemienieniu albo wisieć na gardle Buzdygana, albo upić się i szaleć w vircie.

Lecz teraz mam przynajmniej poczucie, że c o ś r o b i ę.

To prawda, że ludzie w podobnych sytuacjach zawsze chwytają się nadziei najbardziej kretyńskich – szamani, cudotwórcy, święci mężowie, jak trwoga, to do znachora – ale ja przecież nie wierzę w te bajdy Azy!

– I co, machnie ręką, a dwadzieścia kilometrów dalej ojcu odrośnie mózg?

– Zabierzesz go ze szpitala i przywieziesz, gdzie Crux wskaże.

Wyjeżdżamy na obwodówkę. Tu na chwilę łączy się nurt wozów socjerskich z samochodowymi luksusami śródmieścia i sabarbyjskich stanic. Aza prowadzi jedną ręką, w drugiej trzymając papierosa.

Musiła pochwycić mój przerażony wzrok, unosi brwi.

– Masz opłacone bezpilotowe OC na wysokie drogi? – pytam.

– Mam flagę. Kuzyn, tak, ten pierwszy, zhackował mi transponder wozu, inaczej w ogóle nie wyjechałibyśmy z socjaliska.

– Czyli jak nas złapią –

– Nie złapią.

– Ale gdyby jakiś wypadek –

– Nigdy nie miałam wypadku.

– Ja tego w ogóle nie pojmuję. Przecież to jakbyś grała w zręcznościówkę, w której pomyłka równa się śmierci, a co najmniej okaleczeniu – ciebie, pasażerów, innych na drodze. Padłbym na serce po pierwszym kilometrze.

– Ponad wiek ludzie tak jeździli, sami prowadzili.

– No właśnie. Setki tysięcy zabitych. Horror. Czy ty masz przynajmniej licencję szofera?

– Eee tam.

– Jezukryste.

Wjeżdżamy pod plastowe wiadukty. Wstęga szosy jest przezroczysta, widać tylko cienie podwozi przemykających nad nami maszyn. Słońce już właściwie zaszło, ostatnie poziome promienie rozszczepiają się na krawędziach plastu, wspinamy się przez autostrady tęcz. Bardzo to jest piękne – czysty porno industrial – jak te nieboskłony smogu prześwieczonego przez łuny świtu – harmonia zanieczyszczeń natury.

– Nie masz lepszego auta?

– Yhm.

– Rozumiem, że w ziomalstwach, ale – wszędzie wozisz się tym socjergratem?

– A idź się łoraj.

– Przepraszam. – Poniewczasie powstaje myśl, oczywista przecież, że Aza odbiera to jako przejaw typowej pogardy dla klasy niższej. – Nie mój żywioł.

– Taaa.

– No wybacz, że nie zapłacę rzewnymi łzami nad strasznym losem socjerów...!

– Ależ wcale się nie spodziewałam – mówi powoli, nie odrywając wzroku od jezdni.

– Ludzie z dowolnej epoki z przeszłości zamieniliby się z nimi bez wahania.

– Powiedział jaśnie pan, poklepując po głowie swego chłopca pańszczyźnianego.

– Co za lepperskie gadki –

– Już milczę.

– Myślałby kto, że sama masz inne marzenia, niż poślubić herb i uciec do dworku na wsi.

– Jakbym słyszała swoją matkę! – Aza w końcu wybucha. – „Zdrajczyni! IM się wysługujesz! Dziwka zaborców! Niech ONI ci teraz pomogą!”

– Zaborców?

– Nie wiesz? Sprzedaliście Polskę Niemcom, Żydom i Amerykanom. Werki to wymysł masonów, coby do reszty zgłębić naród polski.

– No tak.

– Ale Matkoboska i Crux zrzucą z kraju obce jarzmo i powstanie mężne ziomalstwo.

– A wydawało mi się, że dopiero co była wymiana lepperów. Tak szybko się buntują?

– Nie chwytasz. – Aza kręci głową. – Tu zawsze żyje się na granicy wybuchu, ze szturmówkami i mołotowami pod łóżkiem. „Dłużej już tak nie wytrzymamy!”, „Jak coś się zaraz nie zmieni, popłynie krew”, „Znajdujemy się na krawędzi przepaści”, i tak dalej. Żadnego specjalnego katalizatora nie trzeba, mentalność kryzysu to styl życia, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, pokolenie po pokoleniu. Poczucie nieustannego zagrożenia i totalnej beznadziei kultywuje się niczym tradycje bożonarodzeniowe. Napatrzyłam się od dziecka. Co najbardziej mnie dziwiło – to, że tylko ja się dziwię. Przychodzi nowy lepper, są nowe wybory, dostaje od Rodzin fundusze, ludzie znowu wierzą obietnicom, Rodziny dzielą się tortem, ale ile można ufać jednemu człowiekowi? – drugie, trzecie wybory i morda się zużywa, więc znowu fala, nowa buźka, nowy układ, nowa marchewka, jakiś luksusowy socwerk albo podwyżka socjału, nowy podział tortu, i wszystko od początku. A naprawdę przerażające jest to, że możesz im mówić, możesz powtarzać, tłumaczyć prosto w oczy – słyszą i nie rozumieją, słyszą i nie chcą rozumieć. Panowie mają im dać, to, to i to, więcej i więcej, się należy – i kto wylepperuje, za tym pójdą. Dopóki nie wyjechałam na studia, czułam się, jakbym żyła pośród zaślepionych w vircie, jedyna przebudzona. Horror. Musiałam uciec, nie było wyboru – od momentu, gdy przejrzałam na oczy.

Dopiero obraca ku mnie głowę i widzę, że się uśmiecha. Grymas uległ roztopieniu, twarz jest miękka, bezbronna, melancholia zasnuwa ciemne tęczęwki.

– Największa trudność – mówię – to po raz pierwszy pomyśleć rzecz nie do pomyślenia.

Ucieka wzrokiem.

– Więc teraz znajduję się po drugiej stronie.

– Mhm?

– Wyzyskuje.

– Aha. Znaczy, salariat to też są ONI.

– Oczywiście. Sądzisz, że socjerzy rozróżniają? Ktokolwiek pracuje, zarabia. Jeśli zarabia, to wyzyskuje. Z definicji. A najgorsi ONI to, rzecz jasna, ten ułamek procenta ponad salariatem, który zarabia, bo posiada. Panowie magnaci. Ty, Zygmunt.

– Ja? – śmieję się. – Ze mnie taki magnat jak z –

– Co z tego, że jesteś też na pensji? Masz udziały w Czermie? Masz. Koniec dyskusji. Pijesz ich krew, pogódź się z tym.

Nadal się uśmiecha, ale znów więcej w tym uśmiechu ironii. Nie jestem tylko pewien, przeciwko komu skierowanej.

– Jak, u licha, mogę ich wyzyskiwać, skoro oni nie pracują, niczego nie produkują? Skąd niby więc pochodzi ten zysk, którego ich pozbawiam?

– Oj, powinienes zdecydowanie częściej oglądać kanały publiczne. Praca nie ma tu nic do rzeczy. Ty masz, a oni nie – to jest niesprawiedliwe. Gdyby was nie było, bogactwa przypadłyby wszystkim po równo. Ale wy zatrzymujecie je tylko dla siebie.

– Co za bzdura! Gdyby nas nie było, nie byłoby żadnych bogactw do podziału!

– W zeszłym wieku pewnie by w to jeszcze uwierzyli, ale w epoce werków – nie ma najmniejszych szans. Przecież widzą, że bogactwo bierze się z powietrza.

– O Boże. Kto w takie –

– Wszyscy. Osiemdziesiąt procent społeczeństwa, Zygmunt.

– I ten Crux jest ich – kim? Kościuszką, Wałęsą, Mandelą, Ghandim, Sejwiorem Samozwańcem, Żagarą, bin Ladenem, Che Guevarą?

– Aha.

– Dlaczego zatem w ogóle miałby wysłuchać mojej prośby?

– Tak. – Aza przygryza policzek, obracając energicznie kierownicą; zjeżdżamy w rozległą nieckę, dolinę zarośniętą rzędami bloków jak układ scalony opornikami, każdy kładący przed sobą wielki cień. – Dlaczego miałby?

Jezdnia pokrywa się kolorowymi fraktalami. Na starej tablicy z planem Osiedla XXV-lecia PRL tańczą iskry drobnych wyładowań. Mija nas

chłopak na rowerze, jego ciało pozostawia w chłodnym powietrzu różowy powidok. Siedzący na krawężnikach mołojcy plują leniwie malutkimi piorunami kulistymi. Do wnętrza fiata przebija się głośna muzyka: elektroniczny rytm marszowy, synkopowany przez chór dziecięcy. Dzieci skandują z pasją: – Urrwa! Urrwa! Urrrrwa!

Wjechaliśmy do ziomalstwa.

Ziomalstwo XXV-lecia PRL

– Kto jest lepperem tego socjaliska?

– Klawysyn, Mustafa Klawysyn.

– Powinienem o nim słyszeć?

– Jeszcze niczego nie podpałił.

– Toś mnie pocieszyła. Widziałas na dole tych młodziaków z werkosami?

– Wyluzuj. To spokojne ziomalstwo. Klawysyn nawet policję wpuszcza.

– Order Orła Białego mu dać.

– A myślisz, że na koniec czym się kupuje lepperów?

Idziemy wąskim korytarzem bloku, pierwsze piętro, brak windy, klatki schodowe pulsujące werkami słonecznymi, korytarz ma chyba sto metrów długości, ciągnie się przez cały blok, drzwi do mieszkań po lewej i prawej jak wrota pancernych sejfów. Z naprzeciwka idzie dwoje dzieci, podają sobie na przemian fajkę z jakimś słodkim dragiem, dym ciągnie się za nimi białą wstęgą. Nagła lekkość głowy, gdy wciągam go do płuc.

Aza zatrzymuje się przy numerze 143. Naciska dzwonek i robi głupią minę do obiektywu. Kroki. Drzwi się otwierają. Wchodzimy.

Gospodarz jest w samych gaciach, drapie się po brzuchu i marszczy brwi, gęsty zarost kryje subtelniejsze wyrazy jego oblicza. Obrzuca mnie badawczym spojrzeniem. Bohatersko wstępuję w zatęchłe powietrze mieszkania, w smród niemytego ciała. Gospodarz ma chyba trzydzieści lat, ale wygląd socjerów bywa mylący – może się okazać nastolatkiem.

– Zyga, Brudzio – przedstawia nas sobie Aza i zaraz porywa Brudzia za łokieć. – Nóżki, musimy pogadać.

Brudzio stawia opór.

– Tera? Tera? Szławon, cmitu w minutu! A już! Czasu nie mam dla twoja!

– Nie krakaj, nie krakaj. Sznura tyko na jednego mołojca mi dasz.

– Turaj, urwo niebieska!

– Lizesz mi, Brudzio! Co ci krędzi kwadransik? Wall Street nie zategujesz. No, tera-już.

– A odteguj ty się od moja! Trzy lata i jędzi nagle na progu z jebkiem bladym! Pradź!

– Samse pradź. Nóżki, nóżki, Brudzio!

I ciągnie go w głąb mieszkania.

Przedpokój jest tak wąski, że dwóm osobom trudno iść obok siebie. Brudzio ogląda się na mnie przez ramię.

– A jego gdzie? Siad!

Aza wskazuje mi wzrokiem wyleniałą sofę pod ścianą. Nie potrafię się rozeznaczyć w tej socjerskiej ciasnocie – czy to rodzaj minisalonusu, czy rozszerzenie przedpokoju, czy jakaś przypadkowa wnęką. Siadam posłusznie. Aza i Brudzio znikają za drzwiami po prawej.

Przynajmniej mogę otwarcie mudrować. Na kontakcie po lewej otwieram podgląd sieci w osobistym filtrze informacji. Filtr jeździ na plastusiowej AI, która lepiej ode mnie wie, czego jestem ciekawy.

Czasami na wąskich kanałach abonenckich pojawiają się newsy o publicznych pojedynkach, jeśli brały w nich udział Nazwiska. Sprawdzam. Nie ma jednak newsa o ojcu i Wichwitu.

Odruchowa mudra na priva szpitalnego: w Przemienieniu bez zmian, rejestry medyczne vatera stoją na tych samych wynikach; jeśli coś tu drgnie, to tylko w dół. Chyba że Crux złoży swe dłonie na rozłupanym czerepie (O Krystepane, zacznym w to wierzyć!).

Na BBC-Open najnowsze wieści z frontu wojny meksykańskiej: wszystkie strony oskarżają się o rozpuszczenie militarne nano; skręcone prądy morskie niosą je do Ameryki Południowej – lasy deszczowe zagrożone po raz kolejny.

Crisis Watch o rynkach afrykańskich: indeksy na plus jeden koma osiem, dwa koma trzy, widełki stabilnego wzrostu. Na giełdzie bagdadzkiej kompanie szejkanatów naftowych zaczynają hamować spadek. Indeksy n-biznesu podskoczyły, gdy Bukkart ogłosił wyniki za pierwszy kwartał: ropa

jako surowiec organiczny dla werków niskoenergetycznych okazała się opłacalnym wyborem.

Wyrok Trybunału w sprawie żywności werkogenicznej: dopuszczono do sprzedaży socwerki wielogeneracyjne. Natychmiast spadają notowania producentów przetworów o standardzie socjalnym; Interpol wydaje ostrzeżenie przed nowymi atakami terrorystów chłopskich, Ostatni Rolnicy zapowiadają *suicide-shows*.

Dziesiąty dzień głodówki króla Williama – sondaże opinii Brytyjczyków, wizualizacja trendów.

AI zarządzająca ciałem Britney Spears postawiła się w stan samooskarżenia; proces o prawa do DNA i neuro weteranki popu toczył się będzie przed sądem Santa Barbara. Akcje holdingów medialnych posiadających udziały w Britney Spears idą w dół.

Z TVN-Pro12 filtr wyławia mordę Buzdygana. Widocznie prosto ze śniadania w ambasadzie Brazylii udał się Buzdygan na otwarcie nowego Akwarium ewolwerków Uniwersytetu Warszawskiego, wygłaszał tam mowę w tym samym żupanie, z tą samą karabelą u pasa. Rozpoznaję tekst manifestu gospodarki drexlerowskiej: „Niegdyś ludzkie życie przypominało grę o sumie zerowej. Ludzkość wypełniała niemal zupełnie swoją niszę i szczep walczył ze szczepem o przestrzeń życiową. Powiększenie obszaru pastwisk, upraw czy terytorium łowieckiego jednej grupy oznaczało odebranie ich innej grupie. W dziedzinie podatków, transferów pieniężnych i batalii sądowych zysk jednej strony nadal dziś oznacza stratę drugiej. Powiększamy sumę naszych bogactw powoli, lecz redystrybuujemy je błyskawicznie. Jednak historia rozwoju ludzkości dowodzi, że w skali świata ta gra jest grą o sumie dodatniej. Przyśpieszający w ostatnich wiekach wzrost gospodarczy świadczy, że bogaci mogą się bogacić, podczas gdy biedacy – również się bogacą. Zasoby kosmosu i replikujące się nanoasemblery przyśpieszą ten historyczny trend poza najśmielsze wyobrażenia ekonomistów, otwierając przed ludzkością nowy świat”.

Nowy świat otworzył się dla wszystkich, ale nie dla każdego ten sam. Rzecz nie w tym, że następują zmiany – bo świat zawsze znajduje się w trakcie zmian – lecz że warunkiem koniecznym skorzystania na zmianie następnej jest poddanie się zmianie uprzedniej; kto więc raz się spóźni i nie dosiędzie fali, ten nigdy już nie dogoni przyływu. Człowiek, familia, pokolenie, naród, kraj.

Stąd rodzą się egzotyczne subkultury Pozostawionych w Tyle.

Od szczegółu: socjerski wzorzec piękna jest inny, opiera się na kulcie ilości – więcej złota, mięśni, kolorów, więcej luksusu – i takie oto holo szczerzy się do mnie ze ściany przedpokoju Brudzia: mięsista blondyna o ogromnych cychach, w girlandach ciężkiej biżuterii. Od szczegółu: po co sprzątać, skoro można rzucić w mieszkanie disasemblerzy higieniczne – w efekcie nawet drewno oparcia sofy w dotyku jest jak krak. Od szczegółu: okna wykonano z grubego plastu, kula ich nie przebije – na co są dowody, szereg szram po pociskach, i to świeżych, skoro jeszcze nie zaleczonych. Do ogółu: jak tu okropnie cuchnie!

Zza drzwi dochodzą niewyraźne głosy Azy i socjera. Już mam wstać, podejść, przyłożyć ucho (zero wstydu), gdy w głębi przedpokoju rozlega się szcęk automatycznych zasuw i krótki przeciąg sygnalizuje otwarcie drzwi na korytarz. Ktoś wszedł, nie zadzwoniwszy, kobieta Brudzia? – ale nie, z cienia wyłaniają się dwie męskie sylwetki. Najpierw żółty pobłysk zarysu czaszek, ramion, ognie oczu – widzą mnie – para bezwłosych gołot, w portkach skórzanych i werkolczugowych kamizelach, neonowy dym ciągnie się za nimi w powietrzu, tygrysie pasy przesuwają się po przesłonecznionej skórze. Pod jaką sztamą znajduje się ta dzielnica? O tym akurat Aza omieszkała mi wspomnieć.

Tygrys Jeden obrzuca mnie zdumionym spojrzeniem, Tygrys Dwa trąca go łokciem i wskazuje drzwi po prawej. Mam wstać, przedstawić się, paść plackiem, uciec, mudrować po policję? Zdecydowali za mnie, weszli do Azy i Brudzia, zanim zareagowałem.

Głosy wznoszą się jeszcze bardziej. Teraz już przymus prawie fizyczny – słyszę, ale nie rozumiem, toż to nie do wytrzymania – podchodzę na palcach, przysuwam głowę do plastu.

– ...pódzie bruta!

– Jaka bruta, jaka bruta! – To głos Azy. – Pały waszej wyłorało! Mało Klawysyn wycyckał?

– Nie dla Klawysyna, pradź jego harawa! – To któryś z Tygrysów. – Póda wszystkie ziomalstwa. Co twoja nakłapał? Zacyc był: nie krakać cipom. Przychodzi nasza i co oczą? Już rusułka u Brudzia! Pradź!

– To mała Stefańskiej od tarota. Co moja mógl? Wlazła.

– Ale czy nie wykraka? Wszystkie krakają.

– Wyprażyć jej czachę. – To Tygrys drugi.

– O, pewnie, wyłorać od razu na lód! – piekli się Aza. – Co za mołojce odjebkowate tera chlaczą! Myślałby kto, rewoluszyn odkryli! Moja widziała tuzin takich lepperiad. Akurat jest o czym krakać! Tegujcie, tegujcie, dupa wolna.

– Lepperiad! – prycha Tygrys Drugi. – Nie będzie żadnych monstracji! Nocą, po chatach, wsze wraz, ziomale dawno ukrakani, pódziem lito, Crux poprowadzi, wyłoramy panów, razdwatrzy, tu i wszędzie, tak będzie, urwo gupia!

– Lutuj paszczę! – ryczy nań Tygrys Pierwszy. – Musiała wykrać, a? A? Pradź!

– Noconoconoco –

– Crux poprowadzi, krakasz – mówi powoli Aza. – Wasza zna dobrze Cruxa?

– To on dał Wygrysom ogień! – chwali się drugi mołojec.

Odgłos uderzenia. Pierwszy zdzielił po pysku Drugiego, mogą się założyć.

– Pradź harata! – syczy Pierwszy. – Powiem na sztamie, zaszyją ci jamę! A ty! Ty, ty, twoja! Zamkniesz ją tu do pojutra rano. I nigdzie ma nie dzwonić, z nikim nie krakać. Błyska?

– Błyska, błyska – przytakuje ponuro Brudzio.

– Ja muszę –

– Grówno musisz! Co, łorkujesz w sobotę? – I rehot chóralny.

Liczę szybko: piątek, sobota, niedziela – zaplanowali brutę na noc z soboty na niedzielę, wtedy istotnie dopadną większość poza pracą, w domach albo w wysokich dzielnicach, po klubach, kinach i salonach.

Dlaczego nie słyszałem wcześniej o tej socjerskiej ruchawce? Oni nie potrafią niczego sprawnie zorganizować, tym bardziej w sekrecie, od tygodni powinienem być mieć na filtrze informacji dziesiątki newsów o trendach agresji klasowej w ziomalstwach.

Ale też nigdy nic nie miałem o Cruxie.

– ...oblacze na łyso – tłumaczy Wygrys Pierwszy Brudziowi. – Jak było ukrakane. Ma?

– Oczaj.

- Nooo.
- Pikne.
- Dajesz.

Syk stali. Po kręgosłupie nagły mróz: wiem, o co tu chodzi. Przyszli po akcesoria, po szable, ubiory, chcą się wmieszać między nas, wejść między herbowych. Brudzio robi za kontakt zaopatrzeniowy, ziany diler – nic dziwnego, że Aza do niego się zwróciła po namiary na Cruxa.

- A jak –
- O!
- Pokaż!
- He he!
- A co ty tak łapką płukasz –
- Urrrrrwa!
- Trzymaj ją!
- Rękawiczki!
- Co –
- Po gliny mudrowała!
- Ożesz ty hara, werk twoja mać, oczaj te pirścionki, no jaśnie cipanna!
- Poszło? Mogła nie zdążyć. Czopuj!

Kłaśnięcie.

- Czop! Już!
- Brudzio, co ty krakał, że skąd ją znasz?
- Łojezu, żaż to Stefańska, ta z –
- Trzymaj ją, Józek. Jamę zatkaj, bede prażył przez czachę, ryczą urewsko i krwia im idzie z nosa i uszek. Brudzio, dajesz szmaty.
- A ten chujek, co tam posłuje?
- Co z nim?

Drzwi nie zostały zatrzaśnięte, wystarczy popchnąć, oni są zajęci Azą, Wygrys Drugi unieruchamia ją w nelsonowym uścisku, Wygrys Pierwszy obejmuje za głowę, jaskrawa łuna wokół nich – szable leżą na stole, podnoszę nagą zygmontówkę, nie ma czasu wyważyć, jak ostry sztych, nie wiem – tnę oburącz znad barku.

Wygrys Pierwszy pada z rozchlastanym karkiem, kręgosłup na wierzchu, werkolczuga skwierczy, zalana krwią, ścieram krople z twarzy rękawem kurtki.

Wygrys Drugi wrzeszczy, puszcza Azę, Aza wrzeszczy, unoszę szablę, za moimi plecami wrzeszczy Brudzio.

Teraz już tylko odruchy – dziesięć lat minęło, odkąd chodziłem na szermierkę, a jednak zwierzęca pamięć trwa w ciele – unik, zastawa, Brudzio idzie na mnie z krakowym krzesłem, zbijam, podnosi, zbijam, rzuca, uskakuję. Z drugiej strony Wygrys wykonuje jakiegoś ciężkiego werkboja, kolczuga zwija mu się na ramionach, Wygrys zaciska pięści, rosna na nim kolce i ostrza, powietrze drży, czuję ten żar i czuję ostry zapach spalenizny. Żółte oczy płoną, pochyla głowę, odsłania zęby, też już zawerkowane na lśniąca stal, werklaż napina mu mięśnie i wypycha spod skóry żyły – oto i stoi przede mną Bestia.

– Aza! – wołam, zezując na Brudzia, który rzucił się tymczasem ku stercie pudeł zajmującej prawie połowę pomieszczenia, ku wysokim wieszakom z żupanami i deliami.

Aza próbuje się podnieść, upada, próbuje ponownie. Wygrys postępuje naprzód, iskry białych wyładowań skaczą wokół niego po liniach kondensacyjnych werków. Tnę z lewej, odbija ostrze przedramieniem.

– Aza!

– Pad!

To krzyczy Brudzio – nie do mnie, ale padam bez namysłu. Seria idzie po ścianach, meblach, sprzętach, suficie, trafia w coś szklanego, sypią się kryształowe odłamki.

Turlam się za drzwi, szablę w garści. Sofa, przez sofę, przedpokój – uciec z tego mieszkania! Nie oglądam się. Zasuwy, krakleszcze, na szczęście nie ma szyfr-zamka – wypadam na korytarz. Którędy do klatki schodowej? W lewo. Biegnę.

Ale – ale już słyszę go za sobą, widzę na ograffitowanych ścianach lśniąca pobliski od jego werkzorz. Zgięta wpół staruszka wychyla się za próg i zaraz cofa głowę, przerażona; rozszczekują się w mieszkaniach psy. Z tyłu łomot, jakby to Terminator tam biegł.

Złapawszy za balustradę klatki schodowej, oglądam się przez ramię. Rozpalony Wygrys jest dziesięć kroków za mną, bierze zamach pancernym

ramieniem, jak gdyby strzelał z niewidocznego bata, i nie widzę, nie mam prawa ujrzeć, lecz wyraźnie czuję, jak coś zawija, zagęszcza, zatrzaskuje się w powietrzu – skaczę w dół klatki, ale jest już za późno, czarny ogień dosięga moich pleców, parzy przez kurtkę.

Spadam z krzykiem, uderzam głową w beton. Na półpiętrze podnoszę się, zrzucam skażoną sekundówkę. W prostokącie u wylotu schodów nade mną rośnie zimna jasność.

Zbiegam po trzy stopnie. Dragujący w holu socjerzy patrzą na mnie zdumieni. Przekładając szablę z ręki do ręki, zrzucam z siebie koszulę, rozpinam dżinsy – nie zdążę zdjąć, drą się i rozpadają, spodnie, pas, bokserki, z materiału unosi się dym. Dragmani chichoczą.

Na betonie rozpościera się cień, ostry, coraz ostrzejszy, gdy za moimi plecami rozkwita biała luna. Podnoszą wzrok, rzucają pety i uciekają – bez słów, żyją przecież pod sztamą Wygryśów, wiedzą.

Biegnę razem z nimi.

Zapadł już zmrok, więc uciec, uciec w tę ciemność – fiat, nie, on ruszy tylko pod dotykiem Azy – w ciemność – z żółtych okien bloków wychylają się głowy starych i młodych socjerów, echo niesie po socjalisku pytające okrzyki – w ciemność – już pali mnie skóra, plecy, uda, kark, mój Boże, dosięgnął mnie – w ciemność – ze starożytnego bloku za mną wyłania się w oślepiającym blasku werkbrojny gromodzierzca, wywrzaskujący wygrysia wściekłość – w ciemność – w Ziomalstwo XXV-lecia PRL.

CruX

Polują na mnie, słyszę ich nawoływania, płyną wilczymi zaśpiewami przez nocne blokowisko.

Przebiegam w cieniu.

Świeże graffiti na oknach niemieckiego socmarketu: PRZYDŹ KURESTWO TWOJE.

Dwie dziewczyny obściskujące się pod drzewem, ta wyższa rozpościera kiczowate skrzydła z przeterminowanych światłolotów.

Ogniska na dachach bloków, czarne sylwetki tańczące wokół elektrycznych płomieni.

Starzec z psem – werkpies wyprowadził dziadka na spacer.

Obracająca się na ścianie szczytowej wieżowca kolorowa mandala:
CRUX CRUX CRUX.

Kobięcy głos z otwartego balkonu: – Julius! Łora! Łora! Łobora!

Wyłaniający się z zakrętu alei, w warkocie zabytkowych mechanizmów, wielki ropniak, zeszlowieczny mercedes. Z jego głośników – niezrozumiały hymn socjerski; w otwartym jego dachu – ekipa Wygrysów pod czarnymi sztandarami z Matkoboską.

Przebiegam w cieniu.

A z oddali, spoza gmachów ciemności, zza geometrii jasnych okien: – Uuuuuuuuuuu! Uuuu! – Sfora socjerska, sztama zbierająca się w nagonce.

Polują.

Szabla w garści, tyle. Ocieram dłoń o udo. Na szabli krew, nie wytrę.

Dlaczego kontakt nie łączy? Mudruję bez przerwy, na podwórędziu otwierają się wszystkie szybkie opcje komunikacyjne – policja, Czerm, Aza, hierarchia familijna, Buzdygan, Małżecki, straż miejska – i nic. Zaczopowany, zostałem zaczopowany, razem z Azą; Wygrys Pierwszy, Wygrys Drugi, któryś z nich odciął mnie od sieci.

Czego, oczywiście, nie mógł zrobić. Bo niby jak? Musiałby chyba wrzucić mnie do mordoru wszystkich sieciówek w zasięgu.

Tu nawet beton i chmury są po ich stronie.

Beton drapie stopy do krwi, zimny, chropowaty. Miałem buty, nie mam butów, rozpadły się w biegu. Piecze już cała skóra. Gdyby chlasnął mnie otwartymi werkami rozkładu organicznego, do tej pory niewiele by ze mnie zostało – atak był więc sprofilowany. Uderzał przecież w środku bloku socjerskiego, musiał bardzo ostrożnie dobierać oręż.

Lecz nano tak wysokoenergetyczne, że zdolne do rekonfiguracji makrostruktur w skali sekund, jest zakazane przez wszystkie możliwe konwencje i kodeksy. Gowerki podnoszą alarm na byle ślad podobnych procesów. Tymczasem Wygrysy najwyraźniej posługują się nim niemal rutynowo.

Co więcej: ten pistolet maszynowy Brudzia to zdecydowanie nie była wiatrówka. A jedną z pierwszych funkcji policyjnych gowerków jest przecież wykrywanie chemii terrorystycznej – po spaleniu takiej ilości prochu nad ziomalstwem powinny krążyć tuziny policyjnych kopterów.

Kto wyjął tę krainę spod prawa miasta i świata?

Jest coraz zimniej – ja pocę się ze strachu.

To on dał Wygrysom ogień!

Przebiegam w cieniu.

Pusta jezdnia, parking, murek, drzewa i – kościół: taka sama betonowa bryła jak reszta ziomalstwa, tylko że zwieńczona krzyżem. Piątkowy wieczór, powinno być chyba otwarte – jakie są religijne zwyczaje socjerskie, nie mam pojęcia.

Świątynia niestety nie posiada śluzu, pełny prymityw. Wbiegam przez boczne wejście w pogrążoną w półmroku nawę. Cisza, nikogo w zasięgu wzroku. Odkładam szablę. Zasady pierwszej pomocy w przypadku skażenia werkami nie różnią się wiele od procedur postępowania po skażeniu materiałem promieniotwórczym. Owalna chrzcielnica jest umieszczona wystarczająco nisko i ma ponad pół metra średnicy. Wchodzę w wodę, obmywam się, trąc mocno skórę. (A jeśli kościół posiada sieć dozoru wewnętrznego? Tym lepiej – niech rozdzwonią się alarmy w agencjach, w policji!)

Echo kroków w pustym wnętrzu. Zamieram. Decyzje w ułamkach sekund – nie decyzje: odruchy. Wyskakuję z chrzcielnicy, zdzieram szatę wotywną z posągu jakiegoś socjerskiego świętego, zawijam się w sztywny materiał, srebrny ryngraf kołysze się na piersi. Jeszcze szabla i –

Plask, plask, zimny marmur pod bosymi stopami. Odruch: ku ołtarzowi i do zakrystii czy precz od ołtarza? W zakrystii stałe łącze, końcówka policyjna, ale – w zakrystii też na pewno socjerzy. Kroki się nie zatrzymują i przeważa strach chwili: uciekam przez główne drzwi.

Drzemiąca w ostatniej ławie babcia kościelna nawet nie podnosi na mnie wzroku.

Mokry, drzę na zimnym wietrze. Ze schodów kościoła rozciąga się widok na sporą część dzielnicy: aleje znaczone rzędami lamp, szeregi bloków jak cepeliowskie wycinanki cienia i światła, skwery zupełnie już ciemne. Światła ruchome – światła samochodów – mogę zliczyć na palcach jednej ręki. Pieszycy nie widać w ogóle, jeśli nie wejdą wprost w słup jasności, plamę żółtego blasku. Ludne socjalisko jawi mi się niemal wymarłym. Czy tak to wygląda zazwyczaj po zmierzchu, czy też naturalny rytm życia w ziomalstwie został dziś zaburzony i ta ciemna pustka powinna stanowić dla mnie ostrzeżenie?

Czym prędzej schodzę z widoku, z wysokich stopni kościoła na ulicę i między drzewa za parkingiem. Wymudrowuję mapę miasta. Nie mam na podvorzędziu precyzyjnego planu socjaliska, ale byle program turystyczny jest w stanie wytyczyć marszrutę na podstawie dotychczas przebytej drogi oraz danych wzrokowych.

Program pyta o priorytety. Jeden: wyjść z socjaliska. Dwa: wyjść spod sztamy Wygryśów. Trzy: znaleźć terminal na sztywnym łączu.

Przewodnik wskazuje mi na kontakcie kierunek. Zawijam ściślej szatę i ruszam za nim, od drzewa do drzewa.

– Uuuuuu!

Skąd płynie ten zew? Dźwięki odbijają się od płaszczyzn betonu, trudno rozpoznać kierunek.

Być może jednak nie mogę rozpoznać, ponieważ dobiegają one zewsząd – zostałem otoczony.

Właściwie co tam socjerzy robią – dmą w rogi? kręcą syreny? rzną głośniki? Znacznie sprawniej porozumiewaliby się przez komórki albo virt. Idioci.

Przewodnik wyprowadza mnie na pobocze jednej z przelotówek: cztery pasma, krakowe ogrodzenie, plastowe lampy, werkpucha na jezdni. Nie przekraczam granicy światła.

Przebiegam w cieniu.

To są jednak spore odległości, nie utrzymam dłużej podobnego tempa, już ciężko dyszę, obraz się rozmazuje, mętnieje –

– Oż pradź urrewska!

– Nyzio!

– On to!

– Łoraj jebuca!

– Hihhi, oczaj, jaki dziubuś oćkany!

Siedzieli tu w wypalonym wraku automobilu i chlali jabsynt. Trzech mołojców regularnych: mięso, skóra, złoto, haki. Na szczęście nie dostrzegam na nich pasów wygryśich.

Nie odzywam się, dyszę wsparty na głowicy szabli.

Podchodzą rozbawieni.

– Oczaj szabelku!

- A ciuszek jakie porno!
- Pirścionki moje! Nie ruszycie!
- ‘Kurat!
- To on, on. Noco gapuje darmo, snypan? Gleba! Ajuż!
- Łoraj jebuca, Macu.

Macu rozbija o kolano flaszkę po jabsyncie. Szkło pryska wraz z resztkami świecącej w półmroku werkpiatówki.

Odchrząkuję.

– Panowie...

Wybuchają konwulsyjnym śmiechem.

– Pa-pa-pa-pa-panowie! – powtarza rudzielec w środku. – Łojezu!

Rozrehotany Macu wymachuje mi ostrym szkłem przed twarzą. Odruchowo schodzę w prawo, tnąc oburącz w krzyż, bardzo nieczysto. Pada z rozchlastaną klatą. Syczę z bólu, nadwyrężywszy lewy nadgarstek.

Dwaj pozostali mołojcy, nagle otrzeźwiali, sięgają po werkosy.

Podnoszą mi się włosy na karku.

Uciec im nijak nie zdołam.

– Łoraj!

Poszli. Błękitne ostrza pozostawiają w powietrzu elektryczne powidoki; choć to niemożliwe, zdaje mi się, że naprawdę słyszę trzeszczenie kondensujących się werków.

Rudego biorę na sztych – szabla dłuższa od werkosy – nadziewa się własnym impetem. To mnie jednak unieruchamia, jest za ciężki, nie nadażam z obrotem, o uniku nie ma mowy, i trzeci mołojec dźga mnie w pierś – tszkr! – werkosa schodzi po ryngrafie, wyżegując w metalu głęboką bruzdę.

– Pradź!

Wyszarpuję szablę z ciała i tnę w kiść, zataczając się, prawie na ślepo.

Pada.

Padł, czyli dostał. Nie sprawdzam już nawet gdzie, nie sprawdzam, czy żyje. Ciężkim truchtem ruszam za przewodnikiem.

Przede mną łańcuch światła zakręcającej szosy jak ramię spiralnej galaktyki. Z rzadka przemykają komety: automobile socjerskie, niektóre to

jeszcze nieprzekręcone benzynówki, ogony smrodu za nimi – oznaka statusu.

Przebiegam w cieniu.

– Uuuuuuuuuuuuu! Uuuu!

To z dołu, z centrum socjaliska, z wnętrza doliny. Przystaję, nasłuchuję. Wycia niosą się ponad blokowiskiem. Naraz pojmuję ich prawdziwą naturę i funkcję i nie potrafię opanować drżenia; wspieram się na krzyżowym jelcu zygmunówki.

To nie socjerzy porozumiewają się w ten sposób ze sobą, nie o komunikację między ścigającymi tu chodzi. To jest nagonka w dosłownym znaczeniu: chcą, żebym ich słyszał, chcą, żebym uciekał, przerażony. N a g a n i a j ą m n i e. Kierunek został z góry określony, pętla się zaciska.

Najstraszniejsze jest jednak to, że pędzą mnie tam, dokąd sam uciekam: na zewnątrz, ku stokom doliny, ku granicy socjaliska, poza teren zabudowany, ku autostradom obwodowym na górze.

Znowu moment trwożliwej konsternacji, jak w kościele – w tę czy w tę stronę – tu strach i tu strach – Uuuuuuuuuuuuu! Uuuu! – i znowu odruch zwierzęcy: biegnę wzwyż, po zboczu porośniętym fluorescencyjnymi bękartami jodły, zostawiając za plecami jasną czteropasmówkę i betonowy labirynt cichego blokowiska.

Muszę pomagać sobie szablą; tuż przed wyjściem na plac, w połowie wysokości stoku stromizna jest tak ostra, że osuwam się dwukrotnie wraz z wilgotną ziemią. Ale nawet nie myślę o przystąpieniu dla odpoczynku: są tuż za mną, już na stoku, kilkadziesiąt, kilkanaście metrów poniżej – słyszę nie tylko te mechaniczne wycia, ale także socjerskie przekleństwa i trzask łamanych gałęzi.

Wypadam na asfalt zgięty w pół, rżąc i plując. Przede mną rozpościera się świeże gruzowisko, jeszcze niezarośnięte, betonowa ruina po zeżartym przez disasemblerzy wieżowcu – dlaczego nie dokończyły roboty? – sto metrów geometrycznego gruzu, pozostały w nim widoczne kwadraty piwnic i szkielety ścian parteru, drzwi otwarte na oścież z nocy na zimną noc, krótkie klatki schodowe prowadzące pod gwiazdy, dwadzieścia stopni i zawieszony w powietrzu podest półpiętra, przegryziony w skos ołtarz betonu –

Z niego Crux spogląda z krzywym uśmiechem na świat w dole.

Siedzi na rozłupanym telewizorze, w lewej ręce ściska włosy Azy, która spoczywa obok w kałuży rzygowin, prawą kreśli w powietrzu heliografy.

– Uuuu!

Wchodzą za mną, nie muszę się oglądać, słyszę ich kroki i oddechy, oddech tłumu, zebrała się tu cała sfora. Na pewno są między nimi Wygrysy: lodowate światło skacze po gruzach.

Crux kończy słoneczny wzór i kiwa na mnie palcem. Wchodzę ostrożnie w ruiny. Z każdym krokiem ranię sobie stopy, tu zewsząd wystają ostre odłamki, szpice prętów zbrojeniowych, krzaki drzazg. Na betonowych stopniach pozostawiam krwawe ślady, litanie czerwonych odcisków. Cztery, sześć, osiem, on kiwa na mnie ponaglająco, dwanaście, czternaście, na koniec stoję przed nim na krzywym półpiętrze między ziemią i niebem.

Słysząc tylko charczenie Azy, krztuszącej się swoimi wymiocinami.

Crux opiera mocniej stopę obutą w metaliczny adidas na plecach panny i szarpie jej włosami, jak wodzami krnąbrnego wierzchowca, wykręcając głowę Azy ponad kałużę.

Łańcuchy na dresie Cruxa lśnią wszystkimi odcieniami jubilerskiej tęczy.

Unosi na mnie wzrok i odzywa się w najczystszej polszczyźnie:

– Czego zatem chciał pan ode mnie, panie Ćwiecz?

Nie potrafię zrozumieć, o co mu chodzi. Przekładam szablę z ręki do ręki, ocieram wnętrze dłoni o szatę. Crux się nie uśmiecha, owo skrzywienie warg to jeszcze jedno trwałe piętno jego kalectwa. Siedzi, bo siedząc, lekko pochylony, kryje garb.

Czego ja od niego chciałem?

– Och! – wciągam głębiej zimne powietrze i przez dłuższą chwilę z wysiłkiem powstrzymuję kaszel. – Chciałem... ona chciała... Czy mógłbyś uzdrowić mojego ojca.

– Prosisz mnie o uzdrowienie ojca.

– Tak. Tak. Proszę.

Aureola różowego światła zbiera się wokół głowy Cruxa, spływa mu po ramieniu i dłoni i gdy Crux prostuje palec, blask pada wprost na ostrze zygmunówki, czerwień łączy się z czerwienią.

– Czyja to jest krew, panie Ćwiecz?

– Złych ludzi, herr Crux.

– Kogo raczej powinienem uzdrowić: ich czy pana ojca?

– To zbóje uliczni. Mój ojciec nie –

Crux unosi palec i kineskop pod nim eksploduje z przytłumionym hukiem.

Cofam się instynktownie, stopień, dwa niżej, lecz zaraz wracam na miejsce.

Crux spogląda spode łba, z wnętrza obłoku siwego dymu.

– Twój pan, Buzdygan, któremu hołdowałeś – opowiedziała mi wszystko – on pod krzyżem i luxusem morduje ludzi, jeśli tylko stanęli mu na drodze do zysku. Przecz mi.

– Nie przeczę.

– Kim on jest, panie Ćwiecz? Czy nie on jest źli ludzie?

– Ja nie –

– Twój vater rodzony, o którego życie prosisz – o co się bił z tym młodzieńcem? Bronił może kobiety, dzieci, Matkoboskiej? Był w ogóle jakiś powód? Czy też napadł po prostu na słabszego? Zaszlachtowały go, jak tyłu przed nim, bo mu się tak spodobało, zbój uliczny. Przecz mi.

– Nie przeczę.

– Kim on jest, panie Ćwiecz? Czy nie on jest źli ludzie?

– Och, na litość! Być może jest, to jednak –

– Ty, ty, Zygmunt Ćwiecz herbu Leliwa, pan szablowy – co zrobiłeś? Czy poszedłeś zabić Buzdygana, który zabił ci vatera? Nie. Czy wyzwiałeś Buzdygana? Nie. Czy chociaż wymówiłeś Buzdyganowi? Nie. Będziesz więc nadal brał pieniądze od mordercy swego ojca. Przecz mi.

– Musisz zrozumieć, że –

– Nie przeczysz.

– To nie jest bajka rycerska, w życiu nie można tak –

– Nie przeczysz.

– Nic bym –

– Nie przeczysz.

– Nie, kurwa, nie przeczę!

Crux kiwa głową.

– Przynajmniej nie łzesz.

Aza jęczy niezrozumiale. Crux szarpie za czarne włosy, mocniej ją przydeptuje.

– A ją zostawiłeś i uciekłeś.

– Więc na dodatek tchórz.

– Tak by było lepiej. Obawiam się jednak, że zwyczajny skurwysyn.

– Jasne, do ludobójcy mi daleko.

Crux unosi twarz, spogląda w gwiazdy, gwiazdy błyskają mu w krzywych ustach.

– Dopóki trzymał ręce w górze, dopóty Żydzi zabijali; gdy zaś je opuścił, to Żydów zabijano. Był stary, szybko się męczył. Jak zwyciężyli?

– Podtrzymywali go młodzi.

– Tak. Błogosławiona rzeź. Ja się nie zmęcę, werki się nie męczą. Jutrzejszej nocy wyłoramy panów. Tego nic nie zmieni, nawet twoje ostrzeżenie. Ale nie ostrzeżesz nikogo.

Spluwam. Chciałem splunąć na niego – ślina zakreśliła w powietrzu krótki łuk i spłynęła na beton po niewidocznej błonie. Spoglądam z nienawiścią. Crux przypatruje mi się, przechyliwszy głowę.

– Zauważ, że rozmawiam z tobą.

– Filmów się naoglądałeś, gówniarzu.

– A ona będzie żyć, oczyszczam ją właśnie z wygryziny, ona ma serce, dobrze się przysłuży moim socjerom.

Spluwam ponownie.

– Ojcom rewolucji łby ukrecać w kołyskach.

– Ale ojców rewolucji osiemdziesiątego dziewiątego i ojców rewolucji nano – ich to błogosławisz, prawda? Bo kim byś był, gdyby nie oni? A teraz pora na obrót fortuny korzystny dla socjerów, na ich rewolucję.

Roześmiałbym się, gdyby nie boleśnie suche gardło.

– I jak to sobie wyobrażasz? Pójdzie bruta w całym kraju, zarżniecie robotnych i nagle z socjału spłyną na was wszelkie luksusy? Idioci. Dopiero pożałujecie, jak nie będzie u kogo lepperować! Bez ONYCH, bez nas – co zostanie z socjerów?

– Nic. Będą socjerami, jedynie dopóki istnieją jacyś panowie, od których da się wylepperować socjał. Wyprowadzę ich z tej niewoli. Zmuszę do wolności. Zmienią się tylko wtedy, gdy nie będą mieć innego wyjścia.

– Zawsze będą posiadać inne wyjście, zawsze będą posiadać werki.

– Teraz werki mają ich. Socjerzy są polskimi Murzynami nano. Widzisz to.

– Czy ty mnie usiłujesz p r z e k o n a ć? Nie przekonasz.

Crux prostuje się na tronie elektronicznego złomu, podciąga rękawy dresu, na muskularnych przedramionach ozywają werktuaże. Szarpie za włosy Azy. Aza jęczy. On siedzi rozparty szeroko, z kolanami i łokciami podanymi na zewnątrz, kończyny ma jednak nieproporcjonalnie długie.

– Powiedziała mi wszystko. Gdzie pracujesz, czym się tam zajmujecie. Za dwa dni na Polskę spadnie największy krach. Trzeba mi menadżerów kryzysu najlepszych z najlepszych, by obrócili go na moją, na naszą korzyść. Pracowałeś dla Buzdygana, ale Buzdygana załoramy pierwszego; będziesz pracował dla mnie, Czerm będzie pracował dla mnie. Widzisz więc, dlaczego z tobą rozmawiam, dlaczego jesteś mi potrzebny, panie Ćwiecz.

– Prędzej się –

– Ale nie za darmo przecież! Zapomniałeś, po co przyszedłeś? Vater wstanie z łoża. – Crux zaczyna kreślić w powietrzu lśniący helioglif. – Taki – taką transakcję jestem gotów zawrzeć. Hołduj mi tylko.

– Co?

– Czy nie myślisz o sobie jako o człowieku honoru? Znam was. Szable, pierścienie, herby, wielkie słowa. Przysięgnij mi. – W powietrzu krzepnie obraz krucyfiksu. – Przysięgnij na krzyż święty. Będę łaskawszym panem niż Buzdygan.

– Łoraj sie.

– Ani na vatera nie zważysz?

– Pradź!

– Ale dlaczego nie, panie Ćwiecz?

Szukam odpowiedniego słowa i nie mogę znaleźć. Wiem jedynie, że jakkolwiek hołd przed tym socjerskim pokurczem jest nie do pomyślenia – i, tym bardziej, nie do opowiedzenia jest to obrzydzenie, wstręt zgoła fizyczny, alergia do wszystkiego, co on reprezentuje. Jak wytłumaczyć odmowę, gdy na porcelanowym talerzu podsuwają nam do spożycia parujące gówno? Można jeno kłać.

Więc na koniec tylko wypluwam z nieskończoną pogardą:

– A spójrz ty na siebie!

Crux szczerzy w krzywym uśmiechu ostre diamenty. Ale znowu się pomyliłem, to nie jest uśmiech. Puszczą włosy Azy, głowa panny uderza o beton. Nad Cruxem skręca się wir gęstej aureoli, ciemna kondensacja – aż ozon pali język i podniebienie. Nawet nie unoszę szabli, tylko cofam się, o stopień, drugi, czwarty, Cruxa mam już na wysokości oczu, ogień świętego Elma skaczą mu po dresie i łańcuchach, we wnętrznościach telewizora budzą się czerwone pulsy, Crux nachyla się ku mnie na swoim siedzisku, unosi ręce nad głowę –

– Łorać urwie pana!

Od jego dzikiego ryku niemal pękają mi bębunki; ogłuszony, spadam ze schodów w gruz, tłukąc się boleśnie. Ryk, grzmot, wichura – uderzyła mnie niewidzialna pięść Cruxa i zostałem powalony.

Podrywam się czym prędzej, wznoszę klingę w instynktownej zastawie.

Oni idą na mnie, tłum socjerski, mołojcy blokowisk i Wygrysy werklazowane, z nożami, bejsbolami, krakulcami i werkosami w łapach, w pomruku chłopskiego gniewu, ze złośliwymi grymasami na twarzach, tłuszcza ciemna, spuszczone ze smyczy mięśniaki i dragmani, sól i łajno tej ziemi, krew z krwi, kość z kości i beton z betonu – łorać! łorać! łorać!

Crux nade mną z uniesionymi rękoma, aurora mortifera coraz jaśniejsza.

Spluwam raz jeszcze. Poprawiam szatę i ryngraf, kręcę szablą młynka, może się który wystraszy, odstąpi – nie, żaden, w kupie są nieulekli. Jednego, dwóch, trzech pewnie zdejmę, sięgnę ostrzem. Ale cóż teraz po najzręczniejszej szermierce i stali szlachetnej, cóż po szkołach wysokich i technologiach subtelnym?

Skopią, zarąbią, zatłuką, zajebią na śmierć.

– Łorać pana!

A i ręka z szablą już ociężała, nie chce się wznieść do ciosu, noga nie chce postąpić naprzód – i nie wiem, co właściwie mnie paraliżuje, strach czy Crux, obaj. A nawet gdybym –

– Łorrać pana!

Jest ich zbyt wielu, miliony, miliony.

Exodos

*b*yś wczuł się w to miejsce poczuł mistyczny
sprawdź to ja reprezentuję moich ludzi
a oni reprezentują mnie
obskurne czasy skazani na piekło na ziemi tego jestem pewien
bo ciągle klepią biedę
samoobrona w kieszeni na zawsze na bicie
niosą mnie dzieciaki pogrążone w gniewie
dalej stale walę swoją prostą przed siebie
robię to i tylko ode mnie zależy jak ja to na kartce uchwycę
moje ukochane brudne ulice
obnażone tak że aż dreszcze są i tchu brak

lipiec – grudzień 2003

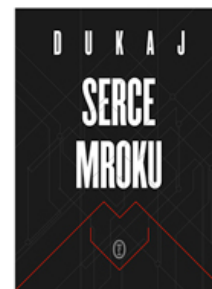
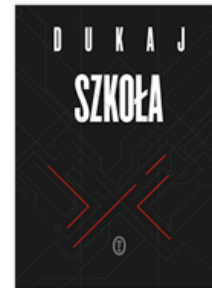
W opowiadaniu wykorzystano fragmenty: wiersza Konstandinosa Kawafisa Zstąpienie bogów w tłumaczeniu Zygmunta Kubiaka; Polskiego Kodeksu Honorowego Władysława Bozewicza; Pieśni XVI Jana Kochanowskiego; pracy K. Erica Drexlera Engines of Creation; piosenki Peji Głucha noc.

Doświadczenie osobiste jest niewątpliwie pożyteczne. Ale gdyby się ściśle przestrzegało granic takiego doświadczenia, okropnie zacieśniłoby się twórczość poetycką, a nawet twórczość filozoficzną. Gdyby trzeba było czekać starości, aby się ośmielić o niej mówić, albo ciężkiej choroby, aby móc o niej wspomnieć, gdyby trzeba było samemu doznać wszelkiej udręki albo zamętu umysłu, aby je ująć w słowa, przekonalibyśmy się, że do napisania pozostaje zaiste niewiele. I jasne jest, że o wielu sprawach w ogóle by nie napisano, gdyż ten, co by ich doświadczył, mógłby nie być osobą obdarzoną talentem, zdolną do analizowania ich i wyrażania.

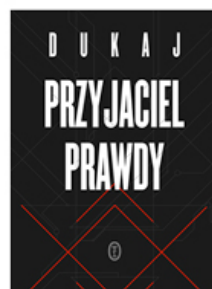
Konstandinos Kawafis, *Ars Poetica*
tłum. Zygmunt Kubiak

Minibooki Jacka Dukaja w Wydawnictwie Literackim:

Ze zbioru „Król Bólu”



Ze zbioru „Xavras Wyżryn i inne fikcje narodowe”



Ze zbioru „W kraju niewiernych”



Inne

